Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Stefan Batory jako myśliwiec.

Obrazek rodzajowy na tle wieku

przez

ADOLFA PAWIŃSKIEGO.

I.

Mają to do siebie niekiedy wielcy ludzie, że pod względem swego charakteru przedstawiają się nam jakby ulani z jednej formy. Zarówno na szerokiej widowni działalności publicznej, jak i w ciasnym obrębie domowego życia, oraz stosunków towarzyskich, cechuje ich ta sama siła woli, jednakie przymioty serca i te same właściwości umysłu. Niekiedy nawet i sama natura uwydatnia zewnętrznym kształtem ciała ukryty pod nim świat duchowy człowieka i układa się zgodnie do tego nastroju, jaki w zakresie uczuć oraz myśli panuje. Na tem spostrzeżeniu opierając się Grecy zwykli byli mawiać o pięknej duszy i o nadobnem ciele: „*Kalos kai agatos*“, w naszej zaś mowie wyraziła się myśl podobna w orzeczeniu, iż w zdrowem ciele piękna kryje się dusza.

Nie tak często widoczną się staje i uwydatnia ta łączność, zachodząca między światem niewidzialnym a kształtem zewnętrznym, ile raczej powszechniejszą jest jednolitość tylko charakteru, jednostajność w postępowaniu, jednakowe zawsze zachowanie się człowieka pośród rozlicznych stosunków swego życia. W tajemniczy świat pobudek i sprężyn moralnych zapuszczają głęboko swój wzrok dramaturgowie i wysnuwają z tej zasady jednolitości wątek działania bohaterów. Ztąd też u Szekspira naprzykład Ryszard III. jest najwierniejszym wyrazem ścisłego związku między duszą a ciałem, jest najdokładniejszym wizerunkiem na zewnątrz tego, co się wewnątrz kryje. Ten potwór moralny, oszpecony najszkaradniejszemi skłonnościami, napiętnowała sama natura najwstrętniejszą brzydotą. Nawet go według wyrażenia poety:

„Psy oszczekują, gdy chroma przed nimi“.

U innych znów bohaterów tego samego dramaturga angielskiego pewne przymioty lub wady tak nawskróś przejmują człowieka, że się objawiają w najdrobniejszych jego sprawach życia codziennego. Królewskość naprzykład tak ogarnia całe jestestwo tej lub innej postaci, że każda w niej cząstka, każdy cal wydaje się w niej królem. Zupełnie słusznie, bo dusza ludzka pod względem tej właściwości odbijania się nawet w najpospolitszych czynnościach, podobną jest do pryzmatu, który czy to wielki, czy mały, zawsze jednakowo załamuje promienie słońca; przyrównać ją też można do zwierciadła, które zarówno w wielkiej cało-

ści, jak i w małym odłamku, odbija przeglądający się w nim przedmiot.

Stefan Batory wydaje nam się takim człowiekiem jednolitym, postacią z jednego odlewu. Rządy jego były krótkie, za krótkie nawet, rzec można, ażeby się uwydatnić mogły wszystkie zalety jego umysłu i serca, a jednak mimo to w tym niewielkim okresie czasu zdołał król zaznaczyć swą działalność wiekopomnymi czynami. Wszędzie widać jedno i to samo piętno, wyciśnięte na jego dziełach i sprawach, wszędzie znać tę wyrazistość plastyczną, tę męską jędrność, tę żelazną wolę, wszędzie przebija się ten duch rycerski, wojskowa karność, duma królewska i wytrwanie bohaterskie.

Skreślmy pospiesznym pociągiem pióra kilka rysów tej wybitnej postaci, aby wrażenie jej odświeżyć w pamięci czytelnika. Majestat swój królewski cenił Batory, niby drugi Cezar, nietylko jako władzę i powagę, ale i pod względem zewnętrznym. Trzebaby tu powtarzać długie dzieje sejmów, odbytych pod jego sprawą, aby wykazać, jak król wysoko pojmował szczytne powołanie w Rzeczypospolitej, którą wezbrane fale gminowładztwa szlacheckiego uniosły były wtedy, jak lekką nawę, na wezbrane morze namiętności politycznych, a które sterować nie tak łatwem było zadaniem. Dość przypomnieć słowa, które Stefan wypowiedział w kilka miesięcy po przybyciu do Polski, na Sejmie w Toruniu, gdzie zmuszony był, jak wiadomo, oświadczyć szlachcie, że zostawszy obrany królem, chce być prawdziwym królem, a nie malowanym. Nieraz też w istocie w ciągu swych rządów dał tego dowody, że umiał stosować to przekonanie o swej władzy i ukrócać cugle wyuzdanej swawoli i wolności.

Miał też wysokie i właściwe pojęcie o godności swojego majestatu. Przytoczę tu jedną okoliczność. W r. 1578. jak opowiada współczesny dziejopis Heidenstein, przybyli do Krakowa posłowie Wielkiego Księcia Moskiewskiego, niosąc ze sobą warunki nowej ugody. Przyprowadzono ich na pasłuchanie uroczyste przed tron królewski. Stanąwszy tedy przed obliczem monarchy, zażądali przed wyłuszczeniem celu swego poselstwa, aby król Stefan wprzód odkrywszy głowę i z miejsca powstawszy, zapytał o zdrowie i powodzenie ich hosudara. Król przyjął ze zdziwieniem tę propozycyę, nie uznał za właściwe stosować się do tych niezwykłych wymagań i posłów z niczem odprawił.

Inny jeszcze wypadek. Na początku sejmu, który się odbywał w Warszawie w r. 1581, przyszli posłowie do króla na powitanie, przyjętym z dawna obyczajem. Naprzód kanclerz koronny odpowiedział dziękczynnie w imieniu króla na przemowę marszałka koła poselskiego, a potem poprosił ich, aby poszli do całowania ręki, „którą Jegomość Król każdemu z panów posłów ochotnie, łaskawie, z czapki zdjęciem podawał, a samemu jej tylko panu Ponętowskiemu, który cześnikiem Łęczyckim był, podać, ani czapki przed nim zdjąć nie chciał“. *) Król miał do niego urazę. Mówiono powszechnie i nie bez zasady, jakoby Ponętowski żywił nieprzyjaźń ku Stefanowi, a nawet zdradę knuł. Król więc na publicznem posłuchaniu zaraz zmierzył go wzrokiem pogardy i nie uznał godnym korzystania z łaski swego majestatu monarszego.

Nietylko jednak togę purpurową nosił Stefan z taką powagą. Kiedy bowiem miecz do boku przypasał i w pole wyruszył przeciw nieprzyjacielowi, wtedy w całej pełni ukazywał się jeden jego rys, jeden przymiot, który całą istotę jego ogarniał — jego duch rycersko - wojowniczy. W tym kierunku nawet, jak wiadomo, najwięcej uwydatniły się zdolności króla - strategika, króla - wojownika. Wytrwałość żołnierza łączył on z rozwagą dowódzcy, był niepospolitym znawcą sztuki wojennej, a obok tego celował jako bitny walecznik.

Miał ciało hartowne jak żelazo. Ochoczo znosił wszelkie niewygody, niby młodzian w kwiecie wiosny i zdrowia. W obozie żył jak wojak, oddany całkowicie swej sprawie. O nic wtedy nie dbał, „zapomniawszy nietylko wczasu swego, ale zdrowia swego i nakoniec sam siebie“, jak głosi odpowiedź, dana w imieniu jego posłom od szlachty Małopolskiej, przybyłej do obozu pod Gdańsk 1577 r.

W czasie potrzeby nie wyręczał się hetmanem, jak to zwykł był czynić Zygmunt August, ale sam nietylko hetmanił, kierował, prowadził, lecz i najmniejszych spraw doglądał. Nie nęciła go miękkość wygodnego życia na dworze, spieszył owszem chętnie w każdym czasie do obozu, gdzie się oddawał twardej pracy bez wytchnienia w dnie i noce, a do obozu było nieraz daleko, a droga była ciężka, pełna niewygód. Tem się atoli nigdy nie zrażał król-wojownik. Żeby się dostać w r. 1581 do Zawołocia, pod Wielkie Łuki, a później do Pskowa, trzeba było przebyć ogromne bory, straszne knieje i „brnąć w ciemnych puszczach jak w głębokiem piekle“, powiada świadek i towarzysz tej uciążliwej podróży. Nie przestrasza to króla bynajmniej, owszem, puszcza się on chętnie z Podskarbim i z kilku dworzanami przez te knieje bezdrożne. „Na noc tylko namiotek (tak nam świadek opisuje tę podróż), ni ławki, ni stolika“. Jak trzeba się posilić i strawę jaką podać królowi, to „zedel mu czynią, kołków kilka w ziemię wbiwszy, a kiedy się z drogi po obiedzie spać zechce, albo odpoczywać, usieką drobno brzozowego liścia z chróstem, miasto materacu rozłożą na ziemię, położy się i przesypia, jak w najlepszym pokoju“. Nic prawdziwszego, nic wymowniejszego nad ten obrazek rodzajowy, skreślony ręką naocznego widza. Król-wojownik spi na stosie brzozowego liścia, jakby w najwytworniejszej komnacie. Smaczniej pewnie nie spali bohaterowie Homera, którym, mówiąc nawiasem, ani się równać z naszym królem pod względem tej prostoty, bo w wygodnych namiotach, jak wiadomo, pędzili żywot, trawiąc wolne chwile na swarach o piękne branki.

Nietylko jednak w obozie panuje ta prostota żołnierska króla. Na dworze, w komnatach królewskich w Grodnie, nie widać również miękkości, wygód, ani w życiu, ani w sprzętach. Kilka ciekawych rysów spartańskiej prostoty dochowały nam spółczesne pisma dwóch lekarzy przybocznych Stefana, w których znajdujemy obraz przebiegu ostatniej śmiertelnej choroby króla. Nie będziemy się jednak już nad tem zbytnio rozszerzali. Dość tylko nadmienić, że z wielu szczegółów, które się dochowały w wiarogodnych źródłach tu i ówdzie, można sobie, o ile się zdaje, dość wiernie odtworzyć postać króla. Postać to pełna zapału wojennego, postać prawdziwie posągowa. Tak jest, posągowa, nawet w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, postać męska, rycerska, okazała. Przyboczny sekretarz króla, a dziejopis Heidenstein, może przez zbytnią życzliwość użył

*) Słowa dyaryusza z r. 1581 nie wydanego. Rękopis biblioteki cesarskiśj w Petersburgu, którego posiadamy odpis.

zanadto jaskrawych barw i zbyt pochlebny skreślił wizerunek Batorego, kiedy pod koniec swego opisu tak o nim mówi: „Natura obdarzyła króla najświetniejszymi przymiotami umysłu i ciała, jakby w jednej jego osobie pokazać chciała całą doskonałość ludzką. Miał on w twarzy, w postawie i w mowie dziwną powagę“. Na ostatnie określenie chętnie się godzimy. Odpowiada ono zupełnie wywodom, któreśmy na wstępie wyżej przytoczyli. Co do piękności zaś ciała, o której historyk wspomina, możnaby nie bez zasady pewne poczynić sprostowania w rysunku, skreślonym ręką nadwornego wielbiciela. Przez wzgląd na ścisłą łączność, jaka zachodzi między duszą a ciałem i niekiedy nawet się uwydatnia w kształtach zewnętrznych, o czem się u wstępu kilku słowy natrąciło, gotówem przypuszczać, że dzielny, rycerski duch Stefana mieścił się w pięknem i kształtnem ciele. Pewną jednak wątpliwość co do twarzy nasuwają nam wizerunki na współczesnych talarach. Nos trochę niekształtny, czoło dość niskie, rysy grube, żywo nam przypominają prawdziwy typ madziarski, nie celujący zbytnią urodą. Za to postawa otyłego nieco króla męska, okazała, choć niezbyt wyniosła, odpowiadała rycerskiemu duchowi. Że tam było nie mało królewskości i w chodzie i w trzymaniu się i w spojrzeniu, możnaby wnosić o tem choćby z takiej drobnej okoliczności, którą spotykam w dyaryuszu sejmowym z r. 1581, a którą, jako nieznaną, chętnie tu przytaczam. Otóż podczas sejmu owego roku, który się odbywał w Warszawie, przybył do króla goniec od Wielkiego Księcia Moskiewskiego, niosąc jakieś ważne polecenia. Wprowadzono go na pokoje zamkowe, przed majestat królewski. Zdumiony widokiem poważnego króla, goniec się zmięszał i okazał się — że tu użyję słów dyaryusza — bardzo strwożonym i zdumionym tak, że tytułów swego pana liczbę pomylił. Dodajmy na usprawiedliwienie gońca, że tych tytułów było niemało.

Jakżeż wygląda — zapytajmy teraz — ten król okazały, ten król-rycerz i wojownik, kiedy ze strudzonej i zakłopotanej głowy złoży koronę, kiedy miecz od boku odpasze i zechce odpocząć po mozołach ciężkiego sterowania nawą Rzeczypospolitej? Gdzie będzie on szukać pociechy, czem ukoi swe troski? A miał, jak wiadomo, niemało tych cierni na swej krótkotrwałej drodze w Polsce. „Ciągłemi szarpany tu potwarzami — powiada sam Batory w swym pierwszym testamencie — prowadziłem tu cierpkie życie“. Zaiste gorzkie skargi, jakiemi są przepełnione jego trzy testamenta, które nam się odszukać udało, miały pewną zasadę. Wyrzekł się naprzód swojej ojczyzny, jak w tem samem miejscu powiada Batory i wyrzekł się nadziei potomstwa. Związek z królewną Anną Jagiellonką powstał, jak wiadomo, nie z inklinacyi serca, ale był raczej wypływem konieczności politycznej. Anna miała już z górą lat pięćdziesiąt, kiedy ją brał za małżonkę Stefan, o dziesięć lat młodszy, sam będąc w rozkwicie swego wieku. Ciepła, miłości po takim związku oczywiście oczekiwać nie należało. W konwencyonalnem kierunku nie znalazło serce zaspokojenia.

Dokąd jednak, zapyta może zaniepokojony czytelnik, dokąd zmierza ten cały przydługi wywód? Miałżeby Batory szukać na innej drodze tkliwej miłości, gorętszego dla siebie serca? Więc mowa tu będzie o miłostkach królewskich. Ależ — powie dalej niezadowolony czytelnik — godziż się nierozważnie zrywać z czoła rycerskiego króla liście lauru, któreście tylko co na skroń jego złożyli? Przedwczesne obawy. Dwór królewski Batorego był innym, niż dwór Zygmunta Augusta. Panowała na nim karność wojskowa, prostota rycerska. Król ani „pompy nie lubił, ani krotofil“. Owszem, w wydanem rozporządzeniu r. 1576 co do zwyczajów i obyczajów służby i dworzan, powiada wyraźnie przez usta marszałka, iż dwór królewski jest i ma być zawżdy wzorem i zwierciadłem dobrych spraw i poczciwego życia w Rzeczypospolitej, bo ztąd każdy przykład zwykł brać przystojności swojej... Nie było tam tych „sokołów królewskich“, które zgotowały, jak się zdaje, Zygmuntowi Augustowi zgon przedwczesny.

Miał król Stefan jedną słabość, jedną żyłkę, raczej zamiłowanie w życiu swem domowem. Był myśliwcem zapalonym. Łowiectwo i polowanie stanowiło jedyną i ulubioną jego rozrywkę. Heidenstein przygodnie tylko i nawiasowo o tem natrąca. Ale wspominając o tem raz i drugi, wyraźnie nadmienia, że to była najmilsza jego rozrywka. Obie te wzmianki wplecione w pasmo opowiadania o zdarzeniach politycznych, giną niepostrzeżenie, nie zwracając na się uwagi dziejopisów. Pod koniec zaś księgi nadwornej historyk Batorego przy skreśleniu wizerunku króla już nie uwydatnił tych szczegółów. Gdyby nam jednak nie był przekazał tych wiadomości, bylibyśmy sami sobie uzupełnili ten rys wizerunku, przedstawiającego domowe życie dzielnego i rycerskiego króla. Bo na ogólnem tle wieku i społeczności szlacheckiej tak wydaje się zgodnem to zamiłowanie do myśliwstwa z całym charakterem Batorego, z jego działalnością, z jego usposobieniem wojowniczem, z jego tęgością ciała i mocą ducha. Cóż łatwiejszego, jak przedstawić sobie bohatera z pod Gdańska i Połocka, czynnego, pełnego energii szafarza Rzeczypospolitej w chwilach wypoczynku, na polu tak blisko graniczącem z wyprawą wojenną, oddanego łowom i myśliwstwu. Dzielny rycerz w obozie, co nawykł do trudu i niewygód, co toczy zwinnie koniem, ściga nieprzyjaciela na rączym biegunie, ten krotofilnej nie będzie szukał zabawy, wśród dusznego powietrza zamkowych komnat. On dosiędzie ognistego rumaka, do kniei popędzi, puści się za kundysami, kiedy niedźwiedzia lub dzika osaczą i zręcznie oszczepem powali o ziemię dzikie zwierzę. On pomknie na chyżym koniu za zającem, którego ruszy pies i wpław się rzuci w nurty rzeki za czaplą lub łabędziem, kiedy sokoł, puszczony za niemi w pogoń, zacznie je szarpać szponami swoimi.

W wydanem przez nas IX. tomie źródeł dziejowych, wśród licznych materyałów do historyi stosunków skarbowych w Polsce, mieści się także kilka luźnych a nowych wiadomości, które uzupełniają to, co Heidenstein zamknął w dwóch czy trzech wyrazach, wspomniawszy o jedynej i ulubionej rozrywce Batorego — o jego żyłce myśliwskiej. Korzystamy chętnie z tych kilku szczegółów, żeby wycieniować nieco staranniej grube rysy pendzla Heidensteinowego i z drobnych kamyków ułożyć mozaikę, której braki i wady w wykończeniu niech pokryje chęć nasza, obudzenia we wdzięcznej pamięci czytelnika dzielnej postaci króla.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIEŃ LISOWCZYKA.

PRZEZ

ZYGMUNTA PIETRUSKIEGO.

(Dokończenie).

OBRAZ VII.

Powrót.

Gwarno, wesoło w rozciągłym szeregu
Toczą się wozy w powolnym kół biegu
I czasem tylko wśród ciemności nocy
Świst bicza doda chyżości i mocy
Strudzonym koniom, co chociaż pozornie
Nędzne i małe i chude potwornie,
Biegą dzień cały zawsze równym krokiem,
Jakby karmione najlepszym obrokiem.
Gdy wzrok przechodnia na te wozy padnie,
To bez trudności natychmiast odgadnie,
Że to do domu wracają myśliwi
Z wesołem sercem i w duszy szczęśliwi;
Pozna, gdy ujrzy, że na wszystkie strony
Każdy wóz bronią gdyby najeżony,
Pozna, gdy ujrzy, że z tyłu za wozem
Leży zwierz czarny przywiązan powrozem;
Bo w Lisowicach zwyczaj ten nieznany,
Inne pod zwierza wysyłać forszpany,
Choć to praktycznie, lecz wzgląd oszczędności
Tak dobrze radzi — więc każdy się mości
Jak gdzie kto może, choć krzywo spoziera,
To jednak zwierza na swój wóz zabiera.
Jest i wzgląd drugi: trudno wiedzieć zrana,
Czy dziś przychylną będzie łowom Djana,
Więc i wstyd trochę i daremna praca,
Gdy wóz osobny bez zwierza powraca.
Choć czasem, prawda, zaprzeczyć się nie da,
Że z tym powrotem to istotna bieda,
Gdy dużo zwierza, a przytem złe drogi,
Góry i ciemno, — Oj! losież ty srogi!
Bo jakie drogi i jakie wertepy!
O! to nie jazda przez otwarte stepy,
Gdzie byle tylko konie bieżeć chciały,
Możnaby jechać śmiało przez dzień cały;
Ale ta jazda właściwie bez drogi,
Przez debry, jary, czahary, rozłogi,
Wśród pni zwalonych, sterczących korzeni,
A nigdzie iść się koń górski nie leni,
Czy ciemnym borem, krzakami, czy zrębem —
Czasem na głowie włosy stają dębem,
Patrząc przed siebie — to śmierć oczywista,
Jak z pieca na łeb, słychać: „hetta, wiśta!“
Wóz trzeszczy, skrzypi, lecz się jakoś toczy.
Czasem, choć rzadko, ktoś z wozu zeskoczy,
Woli iść pieszo, bo znowu bezsprzecznie,
Jechać wygodnie, ale iść bezpiecznie.
To także pewne, że ktoby miał nerwy,
Zamiast tak jechać, dziesięć razy pierwej
Umarłby raczej, zanim się odważy
Jechać z tą flegmą, z tym spokojem w twarzy,
Jak jeden z naszych towarzyszy łowów,
Co niepamiętny przepaści, parowów,
Choć wszyscy zsiędą, on nigdy nie zsiędzie,
Co chce się dzieje i co chce niech będzie,
A gdy wóz upaść już już ma co chwila,
On tylko wagą swą ciężar przechyla,
Siedząc, woźnicę ciągle upomina:
„Prjamo i hatta!“ — z rosyjska zacina.
A że na świecie przeróżnie się dzieje,
Więc i w powrocie są różne koleje,
Raz pomnę, koło się w drodze zgubiło
I wtenczas pieszo, chociaż to nie miło,
Wracać musiano, a czasami znowu
Wóz się z łowcami przewróci do rowu
I wtenczas słychać wśród nocnych ciemności
Krótkie okrzyki hamowanej złości.
I choć woźnicy nikt głowy nie zetnie;
Gniewa się srodze, czasem zaklnie szpetnie,
Z groźbą najczęściej takie słowo łączy,
Co „psia“ zaczyna, a na „krew“ się kończy.
Ale gdy tylko przykra chwila minie,
Zaraz wesołość powraca w drużynie.
I żywo gwarząc, pośród kół turkotu,
Prawią o dziejach szczęśliwego miotu,
Jeden wspomina o szczęśliwym strzale,
Inny zaręcza, że wie pewnie wcale,
Że gdyby nie to, nie tamto, lub owo,
On byłby strzelał, daje na to słowo.
I tak wśród żywej, wesołej rozmowy,
Gdzie jedną treścią są dzisiejsze łowy,
Wśród opowiadań i żartów tysiąca,
Wóz drogi długiej dobiega do końca,
Aż wreszcie patrząc z ostatniego wzgórza,
Dom oświetlony z mroku się wynurza.
Wtedy — to zwyczaj, nie ma na to prawa —
Inna się znowu poczyna zabawa:
Kto ma gdzie trąbkę, wnet ją w rękę chwyta,
Trąbi i trąbi i o nic nie pyta
I nic go wtedy nie wstrzyma, nie wzruszy,
Ni wzgląd na swoje, ni na drugich uszy;
Gra jedna trąbka, trzecia, czwarta, szósta,
Pracują płuca, policzki i usta,
Z innego każda trąbka tonu drze się,
A wiatr cierpliwy wszystko w dal gdzieś niesie.
Czasem, co prawda, i tak znów wypada,
Że cicho łowców powraca gromada,
Niby ukradkiem i jak gdyby skrycie,
A to się dzieje wtedy mianowicie,
Gdy nie uwieńczył los nam niełaskawy
Świetnym wynikiem łowieckiej zabawy.
Ale zwyczajnie głośne trąbek grania
Zapowiadają powrót z polowania
I aż przed gankiem, kiedy staną konie,
Milknie muzyka w całem łowców gronie.

OBRAZ VIII.

Obiad.

W jadalnej naszej Lisowickiej sali
Spiesznie się łowcy na obiad zebrali
I do kominka co ciepło rozlewa,
Każdy się zbliża, chętnie się rozgrzewa,
W ciepłym pokoju z przyjemnością słucha,
Jak tam na dworze nieznośnie wiatr dmucha,
A że do szczęścia ludzkiego na ziemi
Potrzeba także pomiędzy innemi
Nawet w ubraniu niejakiej swobody,
A więc Lisowczyk nie bacząc na mody,
Po całodziennem chodzeniu i znoju
Nie zwykł bynajmniej tu przemieniać stroju,
A więc przychodzi tylko w kamizelce,
Lecz z rękawami i chwali to wielce;
Lecz czemuż Mistrza nie widać wśród grona,
Choć do obiadu już pora spóźniona?
Czyż on z umysłu się nieco opóźnia
I w ten się sposób od innych wyróżnia?
O nie! myśl taka od niego daleka —
Gdy brać zakonna niecierpliwie czeka,
On tam bieżące rachunki sam sprawia,
Myśli o jutrze, nagonkę zamawia,
Daje rozkazy, by jutro bez zwłoki
Mógł myśliwskimi pokierować kroki,
Wtem drzwi otwarto, przychodzi Mistrz Wielki
I biorąc w ręce dwie wódki butelki,
Kolejno wszystkim podaje, zaprasza,
O kim zapomni, ten wnet sam się zgłasza.
Lecz patrz! pomiędzy tutaj obecnymi
Niema pisarza — może smacznie drzemie?
Chodź więc do niego, gdy jesteś ciekawy,
Zobacz, do jakiej on się zabrał sprawy:
Siedzi przy stole, jak skryba najęty,
A przed nim dziennik, on sam przeziębnięty
Pisze i pisze, ręka szybko biega
I zgrzyt się pióra w pokoju rozlega,
Napisze ustęp, to notatki czyta
Spisane w lesie, czasami się pyta
Własnej pamięci i z tego układa
Łowów kronikę, bo takie nań wkłada
Zajęcie przepis zakonnej ustawy,
By po obiedzie, przy podaniu kawy,
Dzieje dnia tego zaraz odczytano.
Tymczasem w sali już obiad podano.
Mistrz pierwsze miejsce zajmuje za stołem,
Inni dowolnie siadają pospołem
I wnet posiłek tak po łowach miły
Pokrzepia trudem nadwątlone siły.
Wreszcie po drugiej lub trzeciej potrawie
Przychodzi pisarz głodny i zły prawie,
Na czekające nań miejsce zasiada,
A że się spóźnił, przeto nic nie gada,
Tylko je spiesznie. Ja wiem z doświadczenia,
Że złe się rodzi łatwo z przegłodzenia,
Więc jeśli kiedy, chcąc tylko nas bawić,
Mógł mimowolnie komu przykrość sprawić
Przez to, że nazbyt czasem żółć rozlewa,
Wy mu wybaczcie, niech was to nie gniewa,
Bo on ze wszech miar przebaczenia godny,
Pomnijcie, pisał wtedy, gdy był głodny,
A jest Polakiem, a więc też szlachetnie
Przebaczcie jemu, chociaż przytnie szpetnie.
Obiad przeplatan wesołą gawędką
Już ku końcowi przybliża się prędko
I kawę czarną już służba przynosi,
A pisarz o głos do dziennika prosi.
Dzwonek się ozwał — on czytać zaczyna
O dniu dzisiejszym, nic nie zapomina,
I każdy szczegół chociażby drobniutki
Znajdzie słów kilka, choćby ustęp krótki —
Gdzie błąd w łowiectwie, z obowiązku zgani.
Czasem towarzysz, którego to zrani,
Zlekka się schmurzy albo i zadąsa,
Mówi, że pisarz jak gadzina kąsa
I prosi o głos, wnet drugi i czwarty,
Więc nad dziennikiem już dyskurs otwarty
I Mistrz głos daje, czasem sam odpiera,
Gdy nań się targnie ten pisarz przechera.
I jako w boru myśliwska gromada
Odyńca w gąszczy z ogary opada,
On krwawem okiem ku łowcom spoziera
I kłami świeci, naprzód się przedziera,
A wtem strzał celny ze sztućcowej broni,
Padł śród drużyny, zwierz zwraca się do niej
I choć w zwycięstwo prawie już nie wierzy,
Jeszcze raz śmiało na łowców uderzy,
A gdy już czuje, że mu sił nie staje,
Pada i ginie, lecz się nie poddaje;
Podobnie u nas też czasem się zdarza,
Gdy wszyscy społem biją na pisarza,
On ile zdoła odbija zarzuty,
Mówi, że pocisk nie był tak zatruty,
Że zresztą słuszny, na prawdzie oparty
I bój na słowa wre dalej zażarty.
Lecz gdy ktoś zmiany żąda w protokole,
Pisarz się ręką wnet gładzi po czole,
Mówi, że chętnie na wszystko zezwoli,
Lecz sam nie może... bo go głowa boli.
A w tem Mistrz Wielki od stołu powstaje
I jednym razem dyskusya ustaje.
I niema śladu już sprzeczki, niezgody
I znów duch wieje przyjaźni, swobody.

OBRAZ IX.

Po obiedzie.

Może to także jest pewnym urokiem
Naszych polowań, że kiedy już mrokiem
Dzień się okryje, gdy późnym wieczorem
Noc czarnym cieniem zawiśnie nad borem,
Że nawet wtedy w tej dobie spoczynku
Człek żyje tylko w miłych chwil wspominku,
Plany na przyszłość snuje w wyobraźni,
Których myśl sama rozkosznie go drażni,
Nie potrzebując jak indziej się zdarza
Płacić dwornością względów gospodarza
I za przyjęcie, często piękne łowy,
Pośród banalnej salonów rozmowy,

Ścierać najmilsze łowieckie wrażenia
I w towarzystwie ledwo od niechcenia
Wspomnieć o zwierzu tak, że po godzinie
Obraz z pamięci już całkiem mu zginie,
Wszystkie obrazy coraz bardziej bledną
Zwolna się tracą, gubią się i rzedną,
Aż całkiem znikną, a on nie wie prawie,
Czy to sen tylko, czyli też na jawie,
Że był na łowach, bo choć mimowoli,
Obraz z pamięci ściera się powoli,
U Lisowczyka od samego rana
Do późnej nocy, myśl zawsze owiana
Duchem myśliwskim, w wszystkich jego słowach
Widać, że myśli wyłącznie o łowach
I wie to dobrze, iż przez dni czternaście
Takie od świata dzielą go przepaście,
Jakby za czasów odległych, pierwotnych,
Wśród niedostępnych żył puszczy samotnych.
Tu rzecz nieznana, jak po dziennym trudzie
Obcy się z tobą spotykają ludzie,
Obcy łowiectwu, prawie że z grzeczności,
Mówią o łowczej z tobą namiętności.
Wśród dobranego grona towarzyszy
Ucho ciekawe nigdy nie posłyszy
Innej rozmowy, prócz tej, w której treści
Myśliwski przedmiot ucho twoje pieści.
Tak jak w obozie podczas zawieszenia
Broni; żołnierze nawet wśród uspienia
Wciąż śnią o boju; tak nasi myśliwi
Marzą o łowach, jutra niecierpliwi.
Ale nietylko w tych gwarnych rozmowach
Myśl twoja bawi jedynie przy łowach,
Nawet i oku, jeśli tego łaknie,
Także pięknego obrazu nie braknie:
Jeśliś ciekawy, ustąp mojej radzie
I wejdź do sieni — tam to na rozkładzie
Ujrzysz w czeregu długim rozłożone
Dnia dzisiejszego z boru przywiezione
Łupy myśliwskie, tu obok zająca
Liszka spoczywa, prawie nosem trąca
Słonki, jarząbki, czasem kozłów kilka
Leży bezpiecznie blisko koło wilka,
Ba nawet niedźwiedź, niedawno krwi chciwy
Drzemie przy dzikach, spokojny, cierpliwy,
A wszystko zgodnie — dziwić się wypada,
Że się zwierz żaden z drugim nie zajada.
Podobnie w wojnie, po zaciętej bitwie,
Szarżach, atakach, rozsypce, gonitwie,
Gdzie bój wrzał wściekły, gdzie mąż walczył z mężem,
To bodąc włócznią, to siekąc orężem,
Gdy śmierć z stron obu ofiar biorąc wiele,
Gęstym już trupem plac boju zaściele,
Ach! wtedy ujrzysz, kędy zwrócisz kroki,
Że obok wroga leżą wroga zwłoki
Cicho, spokojnie, jak gdyby ostatnie
Słowo ich było: „przebaczenie bratnie!“
Tak też i tutaj, co z woli przyrody
Nie miało z sobą nigdy zaznać zgody,
Teraz, gdy życie w kraj śmierci odbieży,
Cicho, bez waśni obok siebie leży.
Tymczasem w sali, naprzeciw ogniska
Grają myśliwi milczącego wiska,
Albo kto woli, to już gustu szansa,
Gwarząc wesoło, zagra preferansa,
W tem wolność wszelka i tylko reguła,
Jak matka ostra, ale równie czuła
Jak i troskliwa, zabrania surowo
Choćby w najmniejszą grać grę hazardową,
Bo niebezpiecznie, a nawet rzecz zdrożna.
Tu też milczeniem pominąć nie można,
Że gdy kto w wisku zgoła szczęścia niema
I gdy dostanie tak zwanego szlema,
Że wtedy wszyscy lisowiccy piewcy
Chórem spiewają: „Wędrowały szewcy“.
Gdzieby kto nie był, czy już spiący leży,
Choćby i nie chciał, wnet do chóru bieży,
Bo to Lisowic prastara tradycya,
A do przyjęcia prawie już kondycya.
Pieśń ta melodyą nie tak się zaleca,
Jak piękną myślą i humor podnieca,
A że i nerwów również nie rozstraja,
A więc do spania ochotę podwaja
Zwłaszcza, że pora już dosyć spóźniona
I w swe Morfeusz zaprasza ramiona.

OBRAZ X.

Noc.

Ciemność głęboka zapadła w dolinach
I gwiazdy błyszczą na niebios wyżynach,
A noc swym czarnym płaszczem otulona
Świat już objęła w spokojne ramiona.
Zwierz skrył się w debry i ptak już nie spiewa,
Drzemiąc bezpiecznie na gałęzi drzewa
I cisza wszędy, tylko wiatr się zrywa
I szumiąc spokój przyrody przerywa.
Czasem zwierz dziki, co za żerem krąży,
Gdy blisko ludzi w swym biegu przydąży,
Cofa się nagle jakby przerażony
W dzikich ostępów bezpieczniejsze strony,
Umyka szybko, gdy go blask doleci
Światła, co z okien wśród ciemności świeci,
Gdzie Lisowczyka, co znużeniem senny,
Czeka po trudach spoczynek zbawienny
I choć snu ciało potrzebę uczuwa,
Łowów mu obraz przez myśl się przesuwa,
Wszystko w pamięci bezładnie się łączy,
Sen go ogarnia, już myśl mu się plącze,
Zwierz się powiększa do dziwnych rozmiarów,
On niby stoi wśród przepaści jarów,
Już chce wystrzelić, broń niknie mu z ręki,
Zamiast odyńca przed nim — ptak maleńki,
Lasy się stroją w jakieś kształty cudne;
Wtem wszystko pierzcha, jakby czary złudne,
Aż potem społem zmięszane wrażenia
Już ustępują potędze uspienia.
I wreszcie zasnął i spi snem spokoju,
Który udziałem tylko tych, co w znoju
Dzień przepędzili wśród trudów i ruchu,
Z czystem sumieniem i spokojem w duchu,
Nie sen to taki, co noc przehulana
Przynosi ludziom aż już późno zrana,

Ani snem takim spi szuler zażarty,
Co całe mienie przegrał nocą w karty,
Bo sen tamtego, to dalszy ciąg nudy,
A sen u łowca — nagrodą za trudy!
Czasem się zdarza, że wśród nocy cieniu,
Gdy śpią myśliwi, na gwiazdy promieniu,
Co bladem światłem z niebios sklepu świeci,
Patron łowiectwa między swoje dzieci,
Wierną czeladkę, zejdzie tu na ziemię,
By błogosławić to myśliwskie plemię,
Wtedy do wszystkich kolejno się zbliża
Ręce nad głową uroczyście zniża
I błogosławi, a w duchu się cieszy,
Że duch myśliwski panuje w tej rzeszy,
Ale ze śpiących nikt nie wie, nie słyszy,
Kto tu jest gościem pośród nocnej ciszy
I chyba dowód szczególniejszej łaski,
Kiedy niepewne przez sen ujrzy blaski
Świętego gościa, a jeśli powtarza
Innym nazajutrz, jeśli rzecz odtwarza,
Wtedy towarzysz wierzyć mu się waha:
„To sen — zapewnia — albo mara błaha!"

Kniejo urocza! Twój obraz skończony!
Wybacz, jeżelim nie był dość natchniony,
By cię opisać, jam myśliwiec cichy,
Dla twych piękności jam pieśniarz za lichy,
Ale składając ów hołd tobie szczerze,
Jam myśli moje przyniósł ci w ofierze.
Żegnaj mi, żegnaj, ty łowów skarbnico!
Zawsze okryta dziwną tajemnicą,
Czasami zmienna nakształt boga wojny
Czasami szczodra, jak gdyby król hojny!
Piękna gdy śniegiem cała się okrywasz,
Piękna w jesieni, gdy liście swe zrywasz,
Gdy wiatr gałęźmi suchemi szeleszcze!
Kniejo kochana! Żegnaj mi raz jeszcze!

Noc zimowa w górskim lesie

przez

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

Przeminął dawno rok pamiętny w naszych czasach, którego cyfrę czytelnicy sami dopiszą, rok usuwający nas z pod argusowego oka, a że myśliwy z zawodu, zwyczajów i powołania jest uosobistnioną niepodległością, więc nader on drażliwy na wszystkie stosunki z sądowemi władzami. Kto więc mógł i miał za co, usuwał się chwilowo poza granice naszéj prowincyi, większość zaś, ci przykuci, *glebae adscripti*, chronili się po zaciszach wiejskich i w górskich okolicach, gdzie po zniszczeniu opryszków, sądy nie widzą winowajców i najczęściej swe oczy od nich odwracają. Ja też *glebae adscriptus* korzystałem z tej pseudo emigracyi i w późnej jesieni podążyłem w góry nasze. Gdzie jechać, było mi obojętne, byle daleko od stolicy i do lasu zwierzyną ożywionego

Owóż w połowie drugiej Grudnia, pomimo przedwczesnej zimy, niedźwiedź jeszcze chodził po lasach Państwa Skolskiego, a zamieszkiwał stromą górę nad rzeką, dla polowania przystępną, dobrze mi znaną. Potwierdzone wiadomości raportami, zaostrzyły naszą namiętność; zorganizowaliśmy tabor z naganiaczami, psami i z pożywieniem na kilka dni i nareszcie nad rankiem ruszyła nasza karawana, pnąc się po białej drodze przez dzień cały. Nad wieczorem rozłożyliśmy obóz przy dosyć łagodnem powietrzu, bez najmniejszego powiewu, przy wesołej pogadance, orzeźwiającej nadziei, przy opowiadaniu gadek ludowych i zdarzeń myśliwskich, przepędziliśmy noc wcale nie dokuczliwą. Rano jeden po drugim przybywali tropiciele i wszyscy niestety oznajmili, że albo niedźwiedź w tym miocie już gawruje, lub też wcale nie wychodzi z miotu, śnieg bowiem leży od kilku dni, a żadnego śladu nie ma. Rada w radę, ulegliśmy pokusie i postanowili miot przepędzić, puściwszy psy, z powodu wysokich łomów, niedostępnych skał i gąszczów szpilkowych. Zanim gończy zajdą, obstawią i przegonią miot górski, może być myśliwy żółtaczką zatruty, stracić wiarę w przyszłość, dopuścić się rozpaczliwego kroku, ta monotonja zniszczy uczucie zemsty, oziębi miłość, wytworzy wątek myśli grzesznych i zaszczepi zniechęcenie bez granic, a tu stać trzeba nieruchomo i bacznie zerkać oczami, gdyż niedźwiedź często nie płoszony nader ostrożnie się rusza i cicho stąpa. Nareszcie ku wieczorowi i ta katusza zakończyła naszą mękę, ludzie i psy wyszli, a Misio widocznie instynktem zachowawczym wiedziony, zawczasu ruszył ku połoninom na zimowe leże.

Cieplik naszej namiętności zniżył się o kilka stopni, lecz ona żywotna, więc posłuchaliśmy namowy tropicieli, suto obdarzonych i przyrzekli stanąć na miejscu w jutrzejszym dniu, aby próbować szczęścia w wyższych górach, istni męczennicy św. Huberta. Oni odeszli wymieniwszy miejsce zboru, my znużeni i skwaszeni postępowaliśmy wolno ku obozowi dymiącemu, jak pożar leśny z dala widziany. Przy ognisku dowcip stygnie, gadki uśmiechu nie wywołują, nawet kłamstwa i przechwałki myśliwskie przewodników, nie rozwiewają mgły osiadłej na umysłach, stopniowo powieki sklejać się poczęły i niebawem dobroczynny Morfeusz wszystkich do snu ułożył, usnęliśmy snem twardym, snem znużenia, pomimo trzaskającego ognia, przypominającego batalionowe strzały. Przy wschodzie słońca nasz stary gazda i przewodnik trąbką nas zelektryzował, zerwaliśmy się i usłyszeli: „Zbierajcie się, bo to dobry kawalątek drogi". Znając długość górskiego kawalątka, puściliśmy się za nim w milczeniu, kawalątek był niepospolity, gdyśmy musieli w drodze spocząć i posilić się, nareszcie dobrze z południa stanęliśmy na miejscu zboru. Tropiciele obstąpili nas i oznajmili jednogłośnie, że żadnego śladu niedźwiedzia w górach najwyższych nie spotkali, wszakże w jednym miocie jest sorok, czyli 40 rachowanych dzików spoczywających do

słońca na uboczy. Wahania być nie mogło, bo dzień grudniowy mija szybko jak westchnienie, zegarek już znaczył pierwszą po południu, więc spiesznie gońcy i psy ruszają w jedną stronę, my zaś dążymy na stanowiska krętą dróżynką w staropniowym lesie jodłowym. Postawiono mnie pod odwieczną jodłą, mogącą bronić od napaści kilkunastu rozjuszonych odyńców, przedemną pięły się ku niebu zuchwałe drzewa, cisza zapanowała grobowa, a umysł liczył godziny i minuty tego wzruszającego oczekiwania. Mija godzina, mija i druga, powietrze poczyna ziębnąć, słońce blednąć, a ręce kostnieć, knieja głucha, jedynie szumem i szmerem jodły śle modlitwę ku niebiosom.

Nakształt grzmotu niespodziewanego, wstrząsł nami głos przeciągły, żałośny, istny lament dusz pokutujących, niebawem pies naszczekał, inne zawtórowały, ujadanie się rozpoczęło, a z niem gon dążący szybko ku nam. Dzień począł szarzeć, słońce ustępować, powiew zimny przemienił się w lodowaty, wiatr ścinający krew w żyłach, palce u rąk sztywniały, każdy czuł się w lodowatym grobie! O fortuno matko, nadobna Diano, o ukochana opiekuńcza Sylwanko, za jakie zbrodnie chłoszczecie nas takiemi katuszami? Przedemną wyczarowany istny rój dzików, ruszający się i wirujący, fuka, huczy, rechta i świszcze, a żadnego na cel wziąć nie można, niestety muszki na lufie widzieć już nie można. Postacie dwie olbrzymie ku psom zwrócone, naszczekujące sobaki widocznie spłoszone i poturbowane, najmniejszego warchlaka uchwycić nie mają odwagi, a matki po kilku bezowocnych szarżach spędzają do kupy dzieci i strzegą je walecznie, gotowe do ostatecznego boju. Odległość dzików odemnie była nie do obrachowania przy zapadającym zmroku, postacie widziałem, wszakże zadu od przodu rozeznać nie mogłem. Wtem pada strzał do niesfornego warchlaka, wysuwającego się na mego sąsiada, warchlak kwiknął i runął na ziemię, samura w susach do niego skoczyła, a skonstatowawszy śmierć widocznie ukochanego Benjaminka nieostrożnego, podniosła szczeć, podwoiła swe rozmiary, fuknęła kilkakrotnie i rozwścieklona popędziła na miejsce zadymione, poczęła kłapać zębami, wietrzyć i rozglądać się, ruszyła dalej w około, a nie upatrzywszy mordercy, wolnym krokiem, jakby w ciężkiej żałobie, powróciła do stada. Druga samura niemniej potwornych rozmiarów, już obojętna na napady psów, bacznie słuchała, wietrzyła głośno, stado w kupie trzymała. Widocznie w ten sposób role były rozdane i dokładnie wykonane. Nareszcie wolno i rozważnie, nie wietrząc strzelca, pod nogi przyprowadziła stado i tenże już w nocy na odległość kilku sążni strzelił i cała czereda cwałem znikła w cieniach zapadającej nocy. Tak wielkich i tak rozwścieklonych dzików już po raz drugi nie widziałem w mem życiu, obraz ten przedemną był do tego stopnia wzburzający i tak na mnie działający, że pomimo mego nawet zbytecznego bezpieczeństwa, dech mi zaparło, zimno i gorąco naprzemian mnie ogarnęło, trząść mi się poczęły nogi i ręce, myśl przesunęła się o potworach jeszcze u nas żyjących. Zgromadziwszy się, skonstatowaliśmy strugę ciemnej farby, za którą kroczyć nie można było w nocy, tem mniej, że gon psów na drugiéj górze przekonał nas o pochodzie całego stada. Noc ciemna, do obozu cztery godziny chodu, wiaterek doskwierający, potęgujący się mróz, próżne torby i manierki, w umysłach piekielne usposobienie. Plątając nogami, a dzwoniąc zębami, dążyliśmy do tego raju, przedstawionego przez wyobraźnię naszą i nareszcie po trudach przypominających wojnę z dwunastego roku, dobiliśmy do obozu. Wódka, wino i herbata obudziły życie, żywe epizody dnia pamiętnego nas trzeźwiły, budząca nadzieja, że waleczną samurę jutro dojdziemy, mile umysły kołysała; nareszcie jeden po drugim otuliwszy się jak najcieplej począł drzemać.

Odwieczne jodły świecą białymi kadłubami ku księżycowi, istne to zebranie siwowłosych starców z obwisłymi kędziorami, z zaśnieżonymi warkoczami, trzęsą się i dygocą, mróz im wnętrzności mrozi. Wiatr kołysze gałęzie, otrząsa ze śniegu, trąca szpilki o szpilki i tym ruchem je ogrzewa, coś szemrzą, szepczą, to znowu mruczą, jakiś cichy świst słyszymy, to znowu pisk i skrzypienie, niekiedy wystrzał jak z moździerza, to krzyk rozpaczy. Bliższe ogniska jodły na żar zrzuciły swą siwiznę, kąpią się w dymie, pieką w iskrach, zapalają swe włosy i znowu je gaszą, dym je okala i pieści, pnie się ku szczytom, ginie pod firmamentem, poszarpany powiewem powietrza. Niekiedy przy poruszeniu żaru nagromadzonego, wytwarzają się sztuczne ognie, kilka, kilkadziesiąt i krocie wesołych trzaskających iskier kupi się, gromadzi i goni ku górze, wytwarzając ognistą kolumnę, konającą dopiero pod niebem. Starcy się smęcą i lamentują, zapłakaliby, gdyby mróz nie suszył łez, czują ból zamrożonych członków i wnętrzności, a ten lament trwać musi do tej oczekiwanej wiosny, zawsze zawodzącej nasze nadzieje.

Termometr znaczył 17ty stopień mrozu, powiew lodowaty do szpiku dosięgał, użyty sztuczny cieplik alkoholów stygnąć począł, zwycięzka walka mrozu z krwią, życia ze śmiercią rozpoczęła się. Drzewo w piramidę ustawione złożone z odziomków, podsycane szpilkowemi gałązkami, wydawało kilkosążniowy ogień, istny pożar, zdawało się, że spiecze i zwęgli życie nawet w znaczniejszem oddaleniu. Męka piekielnych potępieńców się rozpoczęła i mimowoli szukałem szatanów, bo to zjawisko nieznane, z przodu piekący żar gnębiący oddech, z tyłu mróz liżący pacierzową kość, spuszczający po krzyżach lodowate krople, z przodu najwyższy stopień gorączki, z tyłu trzęsąca febra. Ten zabójczy kontrast sprawiał męczarnię, ledwie sił wystarczyło, aby powstać i obrócić się, po tem zaś wysileniu za chwilę znowu te same cierpienia na innych częściach ciała. Członki się kurczyły, jestestwo całe człowieka trętwiało, zmęczenie się potęgowało i owładało organizm, a tu co kilka minut wypadało się dźwignąć i obrócić, siły więc słabły, ospałość ogarniała, sen przed mrozem uciekał, gdzieś tam daleko do ciepłych łóżek, wola miękła, hart duszy znikał i prostracya jak mara osiadała na ciele. Przestraszające odkrycie północy na zegarku, myśl nami wstrząsła, że tak cierpieć wypadnie jeszcze przez godzin kilka. Żaden z moich towarzyszów się nie odezwał, mowa bowiem zamarzła, obracali się jak pieczenie na rożnie w milczeniu przysięgając, że już za życia w zimie nocować nie będą w górskich lasach bez dachu.

Niedaleko o kilka sążni rozłożone było drugie ognisko, a przy niem leżało spokojnie kilkunastu górników, ze śniademi twarzami, kruczymi włosami, z odkrytemi gardłami, z ukośnie osadzonemi oczami, z wyrazami, zaiste nieobiecującymi bezpieczeństwo; w ustach u jednych fajka, u drugich cybuszek, na ciele bielizna, na niej krótki kożuszek, przez ramię przewieszona guńka, do kompletu ubrania białe obcisłe spodnie wełniane, niby ze sukna, niby z flaneli i krypcie rzemykami do nóg przysznurowane.

To mieszkańcy gminy Synowódzka, ongi tatarska osada z czasów Jana Kazimirza, zruszczyli się i zlali z miejscową ludnością, wszakże zewnętrzne oznaki swego pochodzenia zachowali, różnią się krwią i temperamentem od naszych. Twarzy wyrazy surowe, wzrok ponury, uśmiech złowrogi, atletycznéj budowy i elastycznych ruchów. Pomimo mej zlodowaciałej postaci, obraz ten malowniczy przykuł do siebie moją badawczą uwagę, a wyobraźnia bujała po czasach Chmielnickiego i Wiśniowieckiego, kołysała umysł porównaniami dawnych z naszymi czasami i wydawało mi się, że to teraz wzięci w niewolę poganie. Spokojnie drzemali w tym mrozie i przy wietrze, ten ludową czkawką dawał znak życia, tamten ciężkim kaszlem, jedni niedźwiedziem chrapaniam, drudzy stękaniem dowodzącem powtarzanych libacyi, niekiedy któryś odkaszlnął, splunął, przeciągnął się na szpilkach, jak na własnem łożu i dalej się krzepił snem. Inny się dźwignął, potrząsł, usiadł, potarł ręce, wstał i tłuc począł ramię o ramię, siadł przy ognisku, ogrzał ręce i począł znowu drzemać.

Najżywsza wyobraźnia, najpracowitszy umysł odmówić musiał pracy wobec tej naszej męczarni, bo dusza ubezwładniona zostawiła ciało w ospałości bez granic. Słońce o nas zapomniało, księżyc posunął się za góry, ciemność się zwiększyła, firmament cały w migotaniu, niekiedy nam rzucał gwiazdeczkę ognistą, lecz ona do nas skazańców nie dolatywała, czy dla nas nie przeznaczona, czy w drodze zamarzła, lecz w oczach znikała. Starcy dalej kołyszą się i kiwają, jęczą i szepczą między sobą nieznaną nam mową, a te głosy smętne, zdawało się, pochodzące z cmentarzyska, wróżyły śmierć przez zamrożenie, nareszcie, bo na tym świecie wszystko się kończy, ranek począł trzeźwić leniwą i ospałą noc, podpędzać i wskazywać poczynający brzask dnia. Zbudziliśmy Tatarów, zasilili ogień, poczęli śnieżną wodę gotować, przystępując do nader przykrego egzaminu. Nos zatkany, na kształt zagwożdżonej armaty, noga jedna skurczona odmawia służby, ręki podnieść nie można, wydaje się sparaliżowaną, na krzyżach siadło jakieś licho, nie dozwalające się wyprostować, członki pokurczone, twarze szpitalne, a oczy zamglone. — Stopniowo chiński napój rozgrzewa ciało, słońce z lodowni się wychyla, strzela zimnymi promieniami, spędza gwiazdy i zbliża się ku nam błoga ta chwila, gdy tortury ustają, a ciało w całości zostawiły, Bogu dziękujemy za życie, poprzysięgnąwszy solennie, że już nocy w górach nie przepędzimy.

Połatawszy się nieco, zabraliśmy trzy drążki psów i brnąć poczęli po śniegu za krwawym śladem samury; przeszliśmy jedną górę, a wydrapawszy się na szczyt już, jeden górnik szepnął mi, że leżeć musi samura. Spojrzałem za wskazującą ręką, w oddaleniu znacznem na białéj ścianie, ozdobionej odłamami skał i skąpym, skarłowaciałym porostem, zobaczyłem ku mej myślą nie objętej radości smugę ciemnej farby, gdyby wylanej z olbrzymiego węża, znikającą w małym gąszczyku z tajemniczem wnętrzem. Przybliżywszy się do tego grobu dziczego, nikt nie zamierzał iść do środka, gdzie żywa lub bez życia spoczywała samura, lecz rozstawiwszy się w koło puściliśmy na trop jednego z rycerskich psów. Szybko pomknął, zatrzymał się przed gąszczem i począł ujadać przez chwilę dość długą, jęknął żałośnie, nie mając śmiałości rzucenia się w krzaki. — Nareszcie i umierającej sprzykrzył się ten hałaśliwy napad, powstała i wolnym krokiem posunęła się ku psu z ryjem czerwoną pianą napełnionym, kłapiąc zębami, starała się psa pochwycić i rzucić pod siebie. Zdawało się, że ten potwór kości zdruzgocze i niezawodnieby to był uczynił, gdyby mu siły dozwoliły powtórzyć natarczywy atak, lecz tych już zabrakło! Siadła na zadzie, krwawem okiem ścigała ruchy psa, zębami kłapała, lecz się już z miejsca nie ruszyła, tymczasem koło myśliwych się ścieśniało i otoczyło dzika na kilkanaście kroków z ostrożnością, nikt bowiem przewidzieć nie mógł, co jeszcze uczynić może w tym rozpaczliwym stanie, kazałem puścić resztę psów i zniecierpliwione sobaki widokiem zwierza, trzymane na drążkach, obces na niego skoczyły, szarpać poczęły i za uszy ciągnąć.

Obrona wobec bliskiej śmierci, już była bezowocna, z wysileniem szturkała ryjem psy, łapać zębami usiłowała, aby którego z napastników dostać pod siebie, niebawem o ziemię powaloną została i kordelasem zakłutą. Było nas 13stu obecnych i to nie dzieci, a nie mogliśmy jej ruszyć z miejsca. Widoczne były na śniegu ślady odegranego dramatu w ubiegłej nocy. Obiedwie samury z rojem warchlaków dotarły do gąszczu i tu ranioną opuściły siły, musiała towarzyszce powierzyć swe dzieci, pożegnać i polecić opiece, w końcu ułożyć się do wiecznego snu. Poza gąszczem na uboczy śnieżnej niezliczona ilość tropów popisanych wskazywała pochód stada dzików ku połoninom. W ten to sposób zginęła największa i najwaleczniejsza z samur, jakie w życiu widziałem, istna córa ciepłych górskich moczarów, wychowana na owsie i kukurudzy.

W Olejowie 16. Kwietnia 1887.

Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem.

Przez

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Różniły się te sieci nie tylko wskazaną wyżej właściwością, ale też rozległością, w celu obstawienia mniejszej lub większej przestrzeni, również wysokością, co stanowiło ważny ich przymiot, bo przez mniej wysokie łatwo przesadzały takie zwierzęta jak jeleń i sarna, a nawet wilk w ciężkich tarapatach nie najgorszym był gimnastykiem. Najwyższe sieci sporządzano w miejscach, w których znajdowały się jelenie. We Francyi, Niemczech i Anglii umieszczano na wierzchu sieci straszaki, t. j. płatki różnobarwnej materyi, unoszące się w powietrzu za

lada powiewem wiatru i płoszące zwierzynę. Sieci używano w ogóle tylko w miejscowościach równych, nie zaś w lasach górzystych, poprzecinanych jarami, jeziorami, moczarami. Obrzucano nieraz siecią trzechmilową przestrzeń. Czyżby się to dało uczynić n. p. w Karpatach, gdzieby na przeszkodzie stanęła taka „Szczerbata“, lub „Popowy wierzch“ w Beskidach Sanockich? Tu tylko miejscowym obyczajem polowano, w obec tych niebotycznych gór, skalistych przepaści i rwących wód, król, magnat, szaraczek i chłop maluczkimi się czują, upokorzeni chyba myślą zdołają przemódz owe przyrodzone zapory. Górska ta kraina z dawna była siedliskiem wszelkiego dzikiego zwierza. Jeżeli według słów naszego nieśmiertelnego wieszcza, puszcza Białowiezka jest matecznikiem różnorodnej łownej zwierzyny, to cała przestrzeń Karpat, Beskidy i Tatry górują co do zwierzyny, z wyjątkiem żubra, którego tu nigdy nie było, nad puszczami Niepołomicką, Jaktorowską, Kampinoską i innemi. W Białowiezkiej puszczy nigdy nie bywały jelenie, w innych wyginęły one zupełnie, istnieją jeszcze jedynie w Karpatach, mianowicie w Beskidzie. W Tatrach tylko żyją kozice i świstak. W Karpatach znajdował się dawniej nawet tur i koziorożec, a dziś jeszcze jest tam niedźwiedź brunatny, większy od litewskiego, ryś, żbik, wilk, jeleń, sarna i inne drobniejsze zwierzęta. Swobodę pobytu i mnożenia się zawdzięcza ta zwierzyna niedostępności gór.

Nietylko w górskiej krainie, ale w całej Polsce było dawniej więcej zwierzyny, było bowiem więcej obszarów leśnych, których znaczną część pług jako swoją zdobycz zagarnął, nie było broni palnej i nie była ona na dzisiejszą miarę udoskonaloną. Łowy z bronią palną nie dostarczały tyle ile dziś zdobyczy, a każda z nich wymagała wiele czasu i trudu. Dawne opisy łowów królewskich i wielkopańskich wskazują, że kilkutygodniowe łowy z licznym zastępem myśliwych i ogromnym przyborem łowieckim skąpe stosunkowo dawały rezultaty. Jakżeż inaczej działoby się z dzisiejszą bronią na takich obszarach i śród takiej mnogości zwierza. Czemże jest dawny łuk, z którym polowano na płową zwierzynę obok dzisiejszej rusznicy? Jakkolwiek w czasach używania łuków byli prawdziwi mistrze w władaniu nimi, to jednak nie były one dalekonośne i nie godząc w komorę lub słabiznę, nie zadawały ciosu śmiertelnego, nie gruchotały kości, a zwierz z głęboką nawet raną, jak mówiono, „wychodził się“. Łuk, jako broń cicha, zdradliwa, nadawał się wybornie do kłusownictwa, które jednak mniej było pospolitem jak dziś. Łowiectwem zajmowała się prawie wyłącznie tylko szlachta, nie potrzebowała się z niem kryć. Mieszczaństwo nie ważyło się nawet trudnić łowiectwem, a tem mniej skrytołowstwem. Lud tylko nader skąpego dostarczał zastępu myśliwych lub kłusowników; nie posiadał broni, nie miał też komu zbyć ubitej zwierzyny. W owym czasie żyd trzymał się ściśle przepisów Talmudu, które mu zabraniały spożywać zwierząt niezarzniętych i handlować niemi. Lud dybał chyba na życie zwierzyny, której futro było cenne i pokupne, mianowicie niedźwiedzia, rysia, wilka, lisa, kuny, wydry, tchórza. Łowili ją w rozmaity sposób, o czem niżej wspomnę. Mnogość lasów, mniejsza liczba siół, korzystnie wpływały na mnożenie się zwierzyny w całej dawnej Polsce. Szlachta zajęta często wyprawami wojennemi nie oddawała się łowiectwu. Lasy należały do szlachty, a jeśli gmina wiejska posiadała kawał lasu, to prawo polowania w nim miał właściciel wsi. Miasta, rządzące się prawem magdeburskiem, posiadające lasy, oddawały prawo polowania starostom grodowym, lub innym królewskim dostojnikom. Na rzeźników nakładano obowiązek dostarczania pewnej ilości ok pośledniego mięsa, jeżeliby król w obrębie starostwa na łowach się znajdował, z czego niektórzy twardzi starostowie bezprawne ciągnęli korzyści, zmuszając rzeźników do dostarczania mięsa dla własnej psiarni; ztąd wynikły zatargi, wodzenia się po sądach wojewódzkich i żałoby zanoszone aż do tronu.

Dawniej bardziej jak dziś szanowane były prawa zwyczajowe. Wykraczający nie płacił wprawdzie grzywny, ani zasadzany był do wieży, lecz natomiast stokroć dotkliwszej doznawał kary, szyderstwa współziemian, „od którego ani się krzyżem odżegnać, ani szerpentyną odrąbać“. Od dnia 13. Lutego św. Katarzyny najzagorzalszy myśliwy wieszał rusznicę na kołek i w celu odparcia pokusy powtarzał przy pacierzu codziennym: „Od św. Katarzyny nie prześladuj już zwierzyny“. Cierpliwie oczekiwał św. Michała, aby po ukończeniu ozimych zasiewów zapolować w polu lub w kniei, nie dla korzyści, lecz dla ostudzenia gorączki myśliwskiej.

Nauka przyrodnicza podówczas zupełnie leżała odłogiem. Młodź szlachecka, często już w infimie pod wąsem, szła uprawiać zagon ojczysty, zaciągała się pod chorągiew, lub szła do palestry. Rada była wyrwać się do boru, choćby na szaraka, ani jej w głowie nie były mądre prawa przyrody. Wychowaniem szlacheckiej młodzieży zajmowali się jezuici, później pijarzy; pierwsi z Alwara wpajali zasady mądrości. O nauce przyrodniczej ani wzmianki nie było. *Alma mater* krakowska szczyciła się jedynie wykładem nauk przyrodniczych, ale nauka ta polegała jeszcze na starych uwidzeniach i przesądach, których ścisłe badania nie usunęły. Wiara we wszelkie gusła była w owych czasach rozpowszechnioną nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Ladajaka, choćby elementarna znajomość fizyki, astronomii, chemii nadawała pompatyczny tytuł uczonego, czarnoksiężnika, alchemisty lub astrologa. Ztąd wiele namnożyło się szarlatanów, wyzyskujących łatwowierność ogółu, ksiąg pełnych najdziwaczniejszych zdań i poglądów. Tak miała Francya St. Germaina, Włochy Cagliostra, Szwecya Svedenborga, Polska Twardowskiego. Jakie brednie szerzyły się po księgach, dość przytoczyć X. Benedykta Chmielowskiego „Nowe Ateny“, które przewodnikiem i mentorem były w każdym szlacheckim dworze. Cóż dziwnego, że i myśliwstwo wcale nie gruntowało się na umiejętnej podstawie, i tradycyjne z jednego pokolenia na drugie przechodziły zwyczaje myśliwskie, wraz z przesądami.

Opisawszy w zarysie łowy królów i magnatów, utrzymujących liczną drużynę myśliwską, mnogą ilość psów różnego rodzaju, sieci i wszelkie inne przybory myśliwskie, wypada mi wspomnieć, w jaki sposób polowała mniej zasobna szlachta i lud. Królowie polscy urządzali wspaniałe łowy w puszczach leśnych, pełnych grubego zwierza, magnaci i dygnitarze w dobrach swych dziedzicznych lub nadanych. Któremu z nich przypadły w udziale bezleśne obszary, starał się o nabycie głównie dla łowów o knieje, obfitujące w zwierzynę. Tak nabyli Ossolińscy rozległe leśne obszary w podbeskidzkich górach ziemi Sanockiej, jak Sokole, Teleśnicę sanną; Fredrowie Lobozew; Krasiccy Lisko z bogatą knieją Kalenicą, którą niegdyś dzierżawił

Wincenty Pol; Konarscy Chrewt podotrycki, Wetlinę w głębi Beskidów. Nie dla chleba nabywano ziemię głównie leśną w górskiej okolicy Sanockiej, Sądeckiej, Samborskiej, Stryjskiej, Pokuckiej, gdzie gleba nieurodzajna, lecz dla bogatych w zwierzynę kniei. Zarząd takich dóbr oddawano zwykle nie tęgim rolnikom, ale za to dobrym myśliwym. Byle wyżywił psiarnię, stajnię, służbę i siebie, to już reszty dochodów nie wymagano. Corocznie zjeżdżali panowie do swych górskich dóbr i przez zimę polowali namiętnie z licznym orszakiem na grubą zwierzynę. Jak ziemie nadmorskie i nadrzeczne wydają dzielnych żeglarzy, pływaków i nurków, tak okolice przepełnione zwierzem wybornych myśliwych. O ile wielcy panowie dochodzili do świetnych rezultatów łowieckich wielkim przyborem myśliwskim i kosztem, o tyle niezasobni osiągali je przemyślnością, dokładną znajomością myśliwstwa, natury i zwyczajów zwierząt. Ztąd to urosło przysłowie: „sztuką zwierza tłuką“. Potrzeba jest matką wynalazków. Ludzie epoki kamiennej dla własnej obrony w obec drapieżnej roty zwierząt od nich silniejszych, dla przysporzenia sobie z nich okrycia i pożywienia, użyli broni drewnianej, maczugi, młota kamiennego, osadzonego na drzewnym trzonie, później łuku ze strzałą, w której koniec zaprawiano ość rybią lub kość zwierzęcą zaostrzoną. W epoce bronzowej używano kruszcowych grot do strzał i włóczni w celach łowieckich i wojennych. Czemże myśliwska broń średnich wieków różniła się od broni epok kamiennej i bronzowej? Bardzo mało, o tyle, że kamień i bronz zastąpiono żelazem, nim broń palna była użytą. Francya, jakkolwiek łowiectwo tam dzisiaj upadło zupełnie, przodowała w niem w dawnych wiekach całej Europie. Dwory innych państw i możni panowie przejęli francuskie zwyczaje łowieckie. Stan średni, czyli drobniejsza szlachta i lud oparł się wszelkim obcym naleciałościom, najwierniej przechował dawne zwyczaje i obyczaje narodowe. Odmienne te zwyczaje łowieckie polskie tradycyjnie przeszły na prawnuków. Niestety, nader mało podań o tych zwyczajach przeszło do naszych czasów. Z w. XVI. posiadamy tylko trzy dzieła, traktujące obszerniej o łowiectwie, mianowicie: Cygańskiego „Myśliwstwo ptasze“, Bielawskiego Tomasza „Myśliwiec“ i Ostroroga „Myśliwstwo z ogary“. Pisał też Maciej Sarbiewski: „*Sylviludia dithyrambica dum Vladislaus IV. venationibus operam dedit*“, jest to jednak poemat pochwalny dla króla, lecz nie daje obrazu myśliwstwa. Łowiectwo nie było nauką, więc też zwyczajem tylko przechowywało się. Najwierniej strzegł tego zwyczaju średni stan szlachecki i lud. Z tego to źródła czerpiemy dziś słownictwo, przysłowia, przypowieści i pieśni myśliwskie. Niejedną przypowieść i pieśń odszukałem między szlachtą chodaczkową Seredniego i Terła w sanockich, Ilnika, Nanowy, Kulczyc w samborskich górach. Prastara to szlachta, nosząca nazwę od miejsca osiedlenia, a więc Seredyńskich, Terleckich, Ilnickich, Nanowskich, Kulczyckich. Drobna ta szlachta z większą polowała namiętnością jak magnaci. Z przekąsem odzywała się o łowach pańskich: „I komar konia zmoże, gdy mu wilk pomoże“, mając na myśli ogromne przybory, jakimi się posługiwano na łowach. Ale trudniej było samemu lub w kilku potykać się z odyńcem lub niedźwiedziem, bo gdy przy natarciu pękł drzewiec oszczepu lub grot ześliznął się po kości, to już nic nie broniło od śmierci lub srogiego kalectwa. Tacy myśliwi nie mieli ani broni dobrej, ani psiarni dowodnej, bo czyż mógł ją utrzymywać chudy szaraczek. Jedna lub dwie swory ogarów pełniły różnorodną służbę, goniły w kniei, strzegły domowej zagrody. Polowała też ta szlachta całym zaściankiem, kto żyw z męskiej połowy wyruszał na grubego, zwłaszcza drapieżnego zwierza, gdy w dobytku lub w polu znaczne czynił szkody. Z pomocą też sąsiednich zaścianków i okolicznego chłopstwa urządzano obławy na dziki, wilki w każdej porze roku. Na wilki używano różnych samołówek, stępic, dołów, zagród, wabiono prosiakiem, padliną, głosem. Sposobu trucia nie znano; próbowano wprawdzie truć „wroniem okiem“, lecz sposób ten zbyt kosztownym i niepewnym się zdawał. Dopiero po wynalezieniu strychniny powszechniej i skuteczniej tej trucizny używano. Niedźwiedzie brano w rozmaity sposób. Goniony przez cięte ogary zrazu galopując żwawo umyka, lecz gdy rozjadła złaja do kudłów mu się dobierać poczyna, rozburmuszony staje niby człek na zadnie nogi, a przedniemi ciska kamienie, bryły ziemi na atakujące psy, lub z korzeniem wyrwawszy młodego dębczaka, albo buka, młyńcem wywijając opędza się od złai. W tej też postawie brał go myśliwy na oszczep, berdysz, lub inną broń białą. Mieszkańcy okolic karpackich dziś jeszcze łowią niedźwiedzie w stempicę, albo po prostu cięciem siekiery w łeb.

Każda okolica ma swoje sposoby i zwyczaje łowienia niedźwiedzia. W górach Sanockich, Stryjskich, Samborskich, Pokuckich i na Bukowinie najwięcej niedźwiedzi łowią w stempicę, lub ubijają w zimie, wypędziwszy z gawry. Specyaliści w tym względzie wyszukawszy gawrę w wypróchniałem drzewie, pieczarze skalnej, śród stosu gałęzi lub powalonego przez burzę łomu, budzą niedźwiedzia turbując go drągami w gawrze. Mruczy, dąsa się rozespany mysio, wreszcie poczyna się wynurzać, a gdy tylko wystawił łeb, dobrze wymierzone cięcie siekierą płata mu go na dwoje i pozbawia od razu życia. W taki też sposób biją niedźwiedzie w Skandynawii i w Rosyi północnej. Na Litwie łowią je na tak zwane kłody. Jak wiadomo niedźwiedź wielkim jest lubownikiem wszelkich słodyczy, a najbardziej miodu, ztąd zapewne wszystkie ludy słowiańskie dały mu nazwę bardzo zbliżoną do wyrazu miodu. Dawni Polacy zwali go niedźwiedź, lub nawet mjedjedź, Rosyanie, Rusini, Chorwaci, Dalmatyńcy, Czesi, Morawianie mówią medwid', medved, medjed. Europa różne posiada gatunki niedźwiedzi, Litwa zaś jeden z najmniejszych, odszczególniających się barwą włosa, mniejszym rozmiarem i wyłącznym darem łażenia po drzewach. Lubo każdy niedźwiedź umie wspiąć się na drzewo, ten posiada iście małpią w tym względzie zręczność, przyczem wybiera gniazda ptasie, których jaja i płód wyżera; żywi się także wszelkiemi jagodami, a najchętniej nawiedza roje pszczół leśnych. Litwa słynie z takich leśnych pasiek, których owady mniejsze i barwą ciemniejsze zwane bywają czarnopszczołami i zakładają mnogie roje w spróchniałych dziupłach sosnowych. Owe to niedźwiedzie mimo wysmukłości sosny łatwo drapią się choćby na sam jej szczyt, wydzierają plastry miodu i pożerają je chciwie, ztąd zwane są pszczelarzami lub bartnikami. Myśliwi znając ten przymiot owego niedźwiedzia umieszczają przy roju ciężką dębową kłodę tak, że tylko podpórka dzieli ją od wnętrza barci. Niedźwiedź zwąchawszy miód drapie się na drzewo, jedną łapą obejmuje je, drugą zaś poczyna rozszerzać otwór, rozdrapując próchno, potrąca przytem podpórkę, wtedy usu-

nięta kłoda wali mu się na łeb, na krzyże i łapę, którą obejmuje drzewo, i to coraz silniej, aż wreszcie spada mysio z wysokiego drzewa ubity, skaleczony lub ogłuszony, poczem go ludzie dobijają. Używają też Litwini miodu, jako głównej przynęty do samołówek dla niedźwiedzi. Wcześnie na wiosnę, obudziwszy się z snu zimowego niedźwiedź mało w borze znajduje żeru, zbliża się więc do zagród ludzkich, zkąd w nocy rozwaliwszy ścianę chlewka lub owczarni, unosi kozę, owcę lub cokolwiek z żywego inwentarza. Nocne zasadzki ludzkie zwykle nie mają powodzenia, bo niedźwiedź obdarzony słuchem i węchem nader ostrym, przezorny i podejrzliwy, nie łatwo w nie wpada. Radzą sobie na to przemyślni Litwini. W pustej, samotnie stojącej obórce umieszczają jaką sztukę inwentarza, u drzwi otwartych w górze u futryny uczepiają kłodę drewnianą tak, że najlżejsze potrącenie obala ją na grzbiet lub głowę trącającego. Przynętą jest jakie zwierzę domowe. Spadająca kłoda zabija niedźwiedzia lub kaleczy go tak, że umknąć nie może. Zdarza się jednak, że kłoda spuszczona, a niedźwiedź uszedł z kozą lub owcą. Pewniejszym sposobem łowienia niedźwiedzi ma być następujący: Rozpuszcza się pewną ilość prząśnego miodu do średniej gęstości w nowem glinianem naczyniu, dodając do niego spirytusu lub mocnej okowity, poczem zapala się i dozwala gorzeć tak długo, iżby miód się nie przepalił. Miód ten wlewa się jako przynętę w drewniane korytko, które się wstawia w miejscu przez niedźwiedzia nawidzanem. Miód roznosząc woń w koło przywabia wnet mysia, raczącego się do syta przepalanką; skutek następuje niezawodny: omroczony niedźwiedź po uciesznych harcach zasypia snem twardym, ludzie nadbiegają i dobijają go. Tego sposobu używała jak i dziś używa na Litwie i Żmudzi tylko drobna zaściankowa szlachta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Z Ukrainy.

Jak dalece wrażliwem jest dla prawdziwego myśliwego znakomicie odbyte polowanie, świadczyć może niniejsza moja korespondencya. Działo się w roku 1884. Na pograniczu Podola z Ukrainą, w majętności obywatela Kazimirskiego, w Rohoźnej, położonej w okolicy leśnej, gdzie Boh środkiem pasma lasu swem łożyskiem koryto bierze. Od lat kilku wilki niepłoszone tak się rozmnożyły, że zaczęły ogromną szkodę robić w inwentarzach włościańskich i skarbowych. Widywano je stadami po sztuk czterdzieści, co wywołało panikę po wsiach sąsiednich. Zdarzało się bowiem, że wieczorami do wsiów podchodziły dla zdobyczy, a niejeden dostrzegłszy taką gromadę nie śmiał jej płoszyć. Otóż jak przysłowie mówi: „przyszła kryska na Matyska“. Policya baczność swą już mieć zaczęła i naznaczony był dzień obławy, która jak zwykle miała je tylko rozpłoszyć, bo polowanie na wilki bez sieci nigdy nie może być na pewne pomyślnem. Udano się tedy do najbliższego z obywateli, by przyjął prowadzenie polowania i obławy, która do 1.000 ludzi zebraną być miała. Wieś Rohożna najbliższym punktem była od kniei i pan Kazimirski, chociaż nie był zapalonym myśliwym, przyjął obowiązek sprowadzenia strzelców, myśliwych, sieci i gończych, a mając trzy córki już dorosłe, był nawet rad tej okazyi, bo młodzież, która miała uczęstniczyć w tem polowaniu, mogłaby rozmiłować się w której z nadobnych cór, coby się uśmiechało gospodarzowi. Goście na dzień naznaczony już byli zaproszeni, siecie i psy zamówione, a chociaż myślano bardziej o sutem przyjęciu gości, o wilkach nie zapomniano i co wieczora dostawiano padła do miotu, którego zawsze się trzymały. Niezadowolone łupem gotowym, szkody wyrządzały, a włościanie niecierpliwi odgrażali się, że wilki sami potrują. Przynaglony taką pogróżką p. Kazimirski przyspiesza polowanie o dni parę. Zjechano się, sieci nie brakło, bo gdy cały miot obrzucono, to jeszcze trzecia część siatek pozostała. Gończych swór 80 zebrano, obława z 1.000 ludzi przy sieciach zajęła miejsca, a gończe rozmaitych psiarni wypłaszać szkodników miały, a że Boh jedną stroną miot zakrywał, stawiano strzelców w oddali brzegów, przypuszczając, że wilki chyba wpław ratować się mogą, a około strzelców przemykać muszą. Wszystko dopełniono dość strategicznie, a gdy łowczy dał znać, że wszystko już jest w pogotowiu i wilki widziano plądrujące po kniei, niejeden z paniczów przerwać musiał zaczętą dysputę z panienką, która niepojmując ferworu myśliwskiego, zdumiona gwałtownem odejściem młodzieńca, sprawy sobie zdać nie mogła. Powozy podjechały, zabrawszy myśliwych; w pół godziny byliśmy na miejscu, gdzie nas rozstawiać miano. Siatki podjęto i brzegiem Bohu myśliwych rozrzucono; ledwie piąty strzelec stanął, ujrzał wilka nieżywego przy brzegu i zdumiony dość głośno swoje zdziwienie objawił; aż tu znowu dały się słyszeć głosy: „i koło mnie wilk leży nieżywy!“ Zdziwiło to nas wszystkich, a pan łowczy nie w ciemię bity zrozumiał, że wilki potruto, obiegł więc brzeg Bohu i 22 trupów naliczył. Zatrzymał z psiarnią dojeżdżaczy, a sam dobiegł do nas, oznajmiając to fiasco fatalne. Nosy na kwinty pospuszczano, ale jeden z chłopów pocieszył nas, upewniając, „Szcze tut piw sotni żywych najdete, bo to ne wsi; ja sam try dni tomu naliczyw ich sorok i piat’, tut wony powynny buty“. Trupy pozbierano, a każdy był jak gdyby w tej chwili z pod lufy. Cóż się pokazało? Chłopi z sąsiedniej wsi, gdy im już wilki bardzo dokuczyły, poszli po rozum do głowy i znaleźli w aptece zucha farmaceutę, który umowę z nimi zrobił, że połowę skór mu oddadzą, a on wilki wytruje, co też dopełnił, nie wiedząc zapewne o dniu polowania naszego. Chłopi dodawali nam ducha, a każdy z nas zajął swoje stanowisko nie z wielką nadzieją spotkania się z wilkami. Trąbki się odezwały, psy spuszczono, strzały się posypały, wilki jak wściekłe przed każdym strzelcem latały — kanonada straszliwa! Jeden z myśliwych rachował strzały i naliczył ich 110. Rezultatem polowania było: wilków 21, lisów 4, zajęcy 13 i trupa gotowego wilków 22, które dopadłszy zatrutego mięsa, palącego im wnętrzności, do wody biegły i po napiciu się ledwie, każdy został na miejscu trupem. Ja na tem polowaniu ubiłem wilka niezwykłej wielkości i ten mi w pamięci stoi. Wszystkie wilki, jakie mi się zdarzyło strzelać po dzień dzisiejszy, nie zrobiły wrażenia podobnego.

Gdy polowanie było już ukończone, gościnność gospodarza odsłoniła dalszy program dzisiejszego wieczora, co było niespodzianką dla ochoczej młodzieży. Przemówiwszy do zgro-

madzonych serdecznem zaproszeniem na kolacyjkę, prosił, by bez ceremonii w strojach myśliwskich zechcieli wieczór przepędzić tłumacząc, że strój scharakteryzuje dzisiejszą myśliwską zabawę, a nie ubliży domowi jego, bo panie wiedzą, że to był tylko dzień polowania i nikt nie przygotował balowego stroju. Po długich wymówkach przyjęto serdeczne zaprosiny i ruszono taborem do Rohożny. Słońce już schylało się ku zachodowi i mrok firmament zaciemniać zaczął, w oddali dostrzegaliśmy coraz bardziej rozjaśniające się światła od frontu domu, widocznie spieszono z oświeceniem, dostrzegłszy nas wracających. Z broni i lederwerków myśliwskich służba wnet nas rozbroiła, a oczyściwszy każdemu kostium myśliwski, podwoje otworzyła, gdzieśmy się wsunęli i spostrzegli wieniec nadobnych pań, którym gospodarz nas prezentował. Niektórych żenowało ubranie myśliwskie wobec pań, które jaśniały strojami, ale mówi przysłowie: „nie strój człowieka zdobi, ale człek suknię". Po godzinnem zapoznawaniu się z towarzystwem pań strojnych, harmonijna wesołość przejęła wszystkich. Muzyka ukryta odezwała się, a nogi drgać poczęły. Polonezem rozpoczęto tańce, a w tym poważnym pochodzie każdy sobie wybrał towarzyszkę do następnych tańców. Par stanęło niewiele, bo tancerek ledwie 12 było, a mężczyzn dwa razy tyle. Dla nas był to dzień podwójnie przyjemny: polowanie niezwykłe i siurpryza towarzystwa z paniami, a dla pań mnoga liczba kawalerów. Dzień biały dał hasło do podziękowania gospodarzowi za tak gościnne przyjęcie; wniesiono puhary i zaczęto pić zdrowie gospodarza i pań obecnych; z humorem dobrym żegnaliśmy tak miłe towarzystwo, a rozmarzony myślami wsiadł każdy do powozu, by dążyć w swą stronę. Wspomnienia kniejowe, zabawa tak mile z paniami spędzona, usposobiły każdego do snu prawie letargicznego siadłszy do powozu i ja usnąłem snem twardym. Gdyśmy już prom przebyli przy Rohożny, woźnica zatrzymał konie i rzekł trącając mnie w ramię: „Panie, dwa wilki stoją przed nami". Trakt pocztowy przecinał las szeroką drogą właśnie w tym bliskim ustępie, gdzieśmy wczoraj polowali. Przebudzony trąceniem ręki furmana, ocknąłem się i nie mogłem zdać sobie sprawy, czy stoję na stanowisku, czy do tańca ktoś mnie przebudził; przecieram oczy i widzę dwa wilki, które na środku drogi liżą pyski jeden drugiemu, jak gdyby nas nie widziały. Zadrzałem, ładunki mi z ręki wypadają, strzelba zda się odmawiać służby. Przyszedłszy do przytomności każę zajeżdżać bokiem traktu, by się zrównać z bestyami, które na piętnaście kroków podjechać się dały. Mierzę, nie wypaliło, odciągam kurki i widzę, że pistonów nie nałożyłem, a te były w tłumoku głęboko. Wilki uszły bezkarnie, ale śmierć je spotkała z innej ręki. Jak mi potem opowiadano, tymże traktem wracał łowczy pana Łozińskiego z wyprawy naszej myśliwskiej i w tem samem miejscu oba wilki zobaczył; praktyczny zlazł z bryki, przysiadł w rowie, a furmanowi kazał wilki tak zajeżdżać, by na niego wyszły; strzelił drobnym śrótem dwa razy, gdy rów przeskakiwały, oba na miejscu położył i jako trofea myśliwskie odwiózł do Rohożny. Polowanie to każdemu zostało w pamięci, lecz niestety uczestników zaledwie kilku zostało. Czas zaciera przeszłość, ale silne wrażenia zostają na zawsze w pamięci.

Antoni Rokszyc Zapolski.

Śniatynka 5. Kwietnia 1887.

Po ciężkich dniach marcowej zimy przebiło się przecież wiosenne słońce; tumany mgły i śniegu, któremi spowita od miesiąca ziemia zamierała na nowo, zamiast zmartwychwstać, uciekają w postaci wezbranych rzek i potoków; szum spadających wód, głosy ptaków przelotnych, roje muszek w południe do słońca wzlatujących od ziemi i pierwsze motyle, przypominają, że czasby już wreszcie wyruszyć na ciąg słonek; a więc dziś 5. Kwietnia próbuję szczęścia, jednak daremnie, a godzina, którą przepędzam w spokojnem ustroniu lasu, zamiast spotkania ze słonką, przyniosła mi w dani wiązkę rozmyślań Ależ bo nigdy podobno lepiej nie toczą się myśli, jak w tej chwili uroczej, kiedy tarcza słońca chowa się za siatkę złotą pni i gałązek, która haftem najsubtelniejszym rysuje się na błękicie, tworząc harmonią rysunku i koloru, jakiej nie łatwo dobrać na palecie pejzażysty. Zdaje się, że urok tej chwili czują spiewaki leśne, bo nuta ich piosenki jest w zupełnej zgodzie z tonem i wyrazem całej expozycyi.

Otóż i ja pod wrażeniem tego pięknego wieczora, mając u nóg wiernego wyżła, którego nos niestrudzony pracował, puściłem myśli w przeszłość, to jest na kanwę bez końca i stają przedemną postacie kompanionów dawnych, dziś spoczywających na łonie Huberta i innych rozprószonych po świecie zawieruchą, i nie tak bardzo dawne, a przecież dawne, bo bardzo różne od dzisiejszych czasy i polska bieda, której podobno my sami dużo winni. Oj ta polska bieda! straszniejsza podobno od rozjuszonego niedźwiedzia, choć ani kłów, ani pazurów nie ma, jeno podarty łachman na grzbiecie suchym, kij żebraczy w dłoni i przed sobą drogę bez końca, a jak pomyśleć o niej na seryo, to krew się ścina w żyłach, a wobec niej i kompaniony i łowy dawne podobno już tylko wspomnieniem pozostaną na zawsze i dobrze będzie, jeżeli jaki taki przy ojcowskiej substancyi utrzymać się potrafi, ścisnąwszy żupanika skórzanym paskiem, bo lite już dawno się przeniosły tam, gdzie im nieprzystojnie. — Otóż to ta polska bieda nawidza nas stale pod różnemi postaciami! O tej najogólniejszej, którą nam Grottger swoim genialnym ołówkiem naszkicował, przepływającą ponad drzewami Białowieży, a która od owej pory daleko stała się zjadliwszą — o tej lepiej nie mówić, boć ją każdy z nas czuje w szpiku kości swoich, a zresztą nie trzeba wielkich rzeczy z małemi mięszać, wystarczy tych małych Rolnika nawidziła ona w postaci niezmiarki, myszy i rozlicznych innych klęsk, a w następstwie nieuniknionem w postaci inspektora podatkowego; kupiec i przemysłowiec spotyka ją pod postacią zastoju handlowego, rzemieślnik czuje również jej obecność w swej pracowni, artysta polski — ten z nią za „pan brat" od chwili, jak się poświęcił sztuce — z małymi wyjątkami. Do mnie przyszła ta bieda w tym roku i jako niezmiarka i jako mysz i jako sekwestrator podatkowy, ale co gorzej i do kniei nawet wpadła pod postacią trzech wilków. Kto gospodaruje w kniei swojej dla utrzymania dobrego stanu sarn, może mieć pojęcie, co się dzieje w sercu myśliwego, gdy znajduje co parę dni kilka skórek niedojedzonych sarn rozciągniętych przez wilki. Tak było ze mną od jesieni, przebolałem niezmiarkę, przebolałem myszy, przebolałem nawet sekwestratora, choć to gruby zwierz, ale te wilki truły mi spokój przez kilka miesięcy — a tu na nieszczęście jeden sąsiad nie myśliwy, drugi sąsiad zawsze za domem, a straż lasowa potrafi otropić czomber na talerzu, ale wilki w kniei, to za ciężka praca, trzeci sąsiad: c. k. rządowe rewiry, do tych nie ma przystępu, sami leśniczowie nie polują na wilki, bo to także trud za wielki, chyba na sarneczkę lub zajączka — a samemu choć łatwo byłoby o granicę otropić i pobić szkodniki, ale trzeba wpierw zrobić podanie na pismie do władzy, że wilki zalegały i zaczekać na odpowiedź, wilk zaś nie lubi sedentarnego życia. Moje więc wilki wiedziały zapewne, że rezolucye władz rządowych niezwykły prędko nadchodzić i nabroiwszy

co nocy w moim rewirze, dodnia wynosiły się w rewir rządowy liszniański, lub w sąsiedzkie lasy i dzień schodził im zawsze w zupełnem bezpieczeństwie. — Dziwny instynkt a tak trafny, bo i matnie gąszczów i spokój i pożywienie znajdowały u mnie dostateczne, a jednak zmysł ochronny im mówił, że niebezpiecznie tu oblegać. I grałem tak z nimi w ciuciubabkę przez długi czas, a sarny płaciły daninę, w końcu spadły ogromne śniegi wiosenne, bo już od ostatnich dni Lutego i przez całą połowę pierwszą Marca trwała w tych stronach prawie nieustanna zawierzucha śnieżna, tropienie stało się bardzo ciężkie, starych kompanionów i starych strzelców moich po 26 latach mi zabrakło, a młodszych uczyć dopiero musiałem i kilka razy już obcięte wilki z miotu się wyniosły w skutek nieostrożności mego pomocnika, lub zanadto flegmatycznego działania. 16. Marca rano znowu je objechałem i na kilka minut przed zamknięciem miotu znowu się wyniosły; na 17. więc zwołałem pospolite ruszenie t. j. dwie pogonki, jednej zadaniem było w razie wkroczenia wilków w mój rewir zamknąć im odwrót do lasów kameralnych, a drugiej z przeciwległego końca rewiru odwrót do lasów sąsiedzkich. Manewr się powiódł, o 7. rano 17. Marca wilki już były zamknięte, trzeba było zaczekać, aż oblegną w rewirze 1.600 morgów wynoszącym i krótko ile możności obciąć; o 10tej byłem z tem gotów; wilki leżały w 150 morgach gąszczu, trzy ściany miotu obstawione pogonką, ale czwarta! Jakiż był mój niepokój: na długiej drodze, do której obstawienia potrzeba przynajmniej 10 strzelb, stałem ja w tropach, dalej młody leśniczy bardzo niedoświadczony, za nim...... kucharz, za tym...... ogrodnik i służący — pospolite ruszenie, brakło tylko kowala, który bywa nieodzownym jego członkiem. — Trąbka w nagonce zagrała, westchnąłem do św. Huberta, wezwałem na pomoc duchy kompanionów i czekam spokojnie. Wilki uderzyły najpierw na skrzydła, odparte musiały długo lawirować po miocie, bo ubiegło może 10 minut, zanim ujrzałem z gąszczu przed sobą koniec trąby starego wilka, który wietrzyć się zdawał i po kilku minutach cofnął się w miot; ale w chwil kilka potem, tem samem miejscem na 45 kroków wysunął się cały, a ledwo minął mego sąsiada, strzeliłem i stary wilk zarył nosem w śnieg, kiwnął dwa razy kitą w powietrzu i tak skostniał. Nagroda trudu wielka, przyjemność nieopisana, po kilku minutach padł strzał jeden, i znowu wilk legł od strzelby...... kucharza, a drugi niestety między dwoma pospolitakami uszedł chybiony, a tak z trzech dwa padły. W tak trudnych warunkach rezultat dla mnie bardzo wystarczający. Zatrąbiono pojezdnego i wesoło wróciłem do domu. — A trzeci wilk? trzeci rozdarł już w pojedynkę kilka sarn od tej pory i czeka na ponowę przyszłoroczną.

S. T.

Wykaz zwierzyny ubitej w ciągu lat 11

w rewirze śniatyńsko-wróblewieckim 2.100 morgów lasu wynoszącym, oraz na błotach około 400 morgów.

Rok	Dzik	Wilk	Lis	Żbik	Borsuk	Kuna	Wydra	(Sarny) Rogacz	Zając	Jarząbek	Słonka	Kuropatwa	Przepiórka	Derkacz	Kaczka	Dubelt	Kszyk	Gęś dzika	Orzeł przedni	Razem sztuk
1876	.	.	13	.	.	.	1	35	138	.	25	17	4	.	6	1	12	1	.	253
1877	2	.	5	.	.	.	.	30	27	.	6	3	3	.	1	.	.	.	.	77
1878	.	.	7	.	.	.	.	26	16	.	22	2	16	.	29	8	18	.	.	144
1879	.	.	24	.	.	1	.	48	57	.	117	.	2	28	27	14	190	.	.	508
1880	3	.	9	.	.	.	.	7	2	.	2	.	.	.	19	.	37	.	.	79
1881	.	.	9	.	.	.	.	35	17	.	10	3	13	.	61	9	32	.	.	189
1882	.	.	15	.	.	.	.	56	59	.	7	.	1	.	18	1	32	.	.	189
1883	.	.	18	.	.	.	.	32	54	.	2	.	.	.	3	.		.	.	109
1884	.	.	11	.	5	.	.	39	51	1	2	.	1	.	9	12	61	.	.	192
1885	.	.	34	1	6	.	.	18	50	.	6	4	.	1	52	69	33	.	3	277
1886	.	2	39	.	9			23	55	.	16	11	1	6	81	12	88	.	1	344
Razem w okresie lat jedenastu	5	2	184	1	20	1	1	349	526	1	215	40	41	35	306	126	503	1	4	2.361

KRONIKA.

Dnia 19. Kwietnia zebrał się Wydział Tow. łow. na posiedzenie, na którem obecni byli: wiceprezes Towarzystwa hr. Stefan Szembek jako przewodniczący, członkowie: Czarkowski Tadeusz, Glanz Józef, Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław, dyrektor szkoły lasowej Henryk Strzelecki, jako zaproszony gość.

Uchwalono:

Z powodu stawianych trudności nie urządzać Wystawy łowieckiej przy ogólnej Wystawie krakowskiej, oraz przesłać hr. Arturowi Potockiemu w Krakowie pismo tej treści: „Wydział Towarzystwa łow. otrzymawszy na wystosowany do JW. Pana Hrabiego, jako członka Wydziału Towarzystwa łow. i Prezesa Komitetu Wystawy list, odpowiedź p. Kluczyckiego, oświadcza, iż odstępuje od zamiaru urządzenia Wystawy łowieckiej, dziękuje za odpowiedź i przeprasza, że ośmielił się listem swoim trudzić JW. Pana Hrabiego“.

Sekretaryat zawiadomi Wydział Towarzystwa leśnego, że w celu porozumienia się w sprawie wspólnego wydawnictwa kalendarza leśnego i myśliwskiego, wydelegował hr. Szembeka i p. J. Łozińskiego i uprasza o uwiadomienie, z kim ta komisya wejść ma w rokowania w tej sprawie.

W majowym numerze „Łowca“ ma być umieszczone tłustemi czcionkami wezwanie następującej treści: **„Na mocy uchwały Walnego Zgromadzenia galic. Towarzystwa łowieckiego z 12. Grudnia 1886 zawiadamiamy P. T. Członków Towarzystwa łowieckiego, zalegających z wkładkami swemi, a odbierających „Łowca“, że jeśli do 1. Czerwca r. b. wkładek zaległych nie uiszczą, następny numer będzie im wysłany za zaliczką pocztową“.** Do numeru majowego ma być powyższym członkom dołączona karta upomnienia.

Następnie załatwiono sprawy bieżące mniejszej wagi.

Olejów 12. Kwietnia.

Z szczerem uczuciem wdzięczności powitałem podniesioną sprawę szpiserów w 4. numerze „Łowca“ przez pana Błażyńskiego i cieszę się obudzeniem ciekawości, prowadzącej do głębszego badania. Fakt jednak zacytowany muszę uważać jako wyjątkowy, gdyż długość rogów 16 cm. bywa najczęściej długością rogów dwuletnich już rogaczów i tej miary nigdy u roczniaków nie widziałem. Bujność i długość rogów zależy od siły, zdrowia, miary i obfitości pokarmu. Może ten rogaczyk wcześnie urodzony w chwili zabicia był już w drugim roku, tak długich jednak i czysto szpiczastych rogów nie napotykałem do tej chwili. Według wieku zrzucać ma roczniak, począwszy od Listopada lub Grudnia do wiosny ze swej koronki czyli gniazda wypukłego rożki od jednego do dwóch i trzech, a niekiedy z wyrośniętej nad powierzchnię zrzuca już chwiejące się rożki, ledwie na pół centymetra wyrośnięte, o czem się niejednokrotnie przekonałem, a zatem normy i ściśle oznaczonego czasu nie możemy tu podać. Badanie o tyle jest utrudnione, że do 1. Marca nie strzelamy do roczniaków, a później zabrania nam Ustawa je zabijać, a następnie badać. W tej porze są u mnie przeważnie roczniaki, z pierwszymi, że tak powiem, mlecznymi rożkami, pokrytymi szerścią, a niektórym rosną już rożki, orzec jednak nie można, czy będą szpiczaste, czy też z odnogami. Zimna wiosna i głębokie śniegi, jednem słowem w tegorocznym sarnim przednowku, wstrzymują porost rogów. Zastrzegam się przeciw zarzutowi, jakobym pewnik stawiał, a na poparcie dołączam prośbę o dalsze sumienne badanie tego odkrycia, które bądź co bądź zmienia ciekawe zdania, poglądy i twierdzenia.

Kazimirz hr. Wodzicki.

W kronice „Łowca“ z Kwietnia nazwano dzikie gęsi głupiemi z powodu, że tego roku pokazały się tak wcześnie około Warszawy. Biorąc je w obronę przytoczę, że nietylko one się pomyliły, bo 5. i 6. Marca, a więc przed ostatnim wielkim śniegiem, widziałem oprócz skowronków kilka kaczek krzyżówek, a co dziwniejsze i rzadkie (?) 21. Marca, gdy masa śniegu leżała, podczas szalonych zadymek i mrozów widziałem ja i kika innych osób kilkanaście bocianów o 2-giej godzinie popołudniu, ciągnących dość wysoko ze wschodu ku zachodowi, o czem wcale wzmianki w dziennikach nie było. Gdybym nie widział własnemi oczami, nie wierzyłbym. Co się z biedakami stało? Zapewne zginęły śmiercią głodową. Wracając do dzikich gęsi, raczej domową nazwaćby można głupią. Na podstawie długoletniego mego doświadczenia śmiało utrzymuję, że z wszystkich ptaków myśliwskich dzika gęś najwięcej posiada sprytu, przebiegłości i niesłychanie jest ostrożną. Jak mało się ich bije, nawet gdy jest pewność, że na stawie znajduje się ich kilka stadek? Co roku poluję w początku Lipca na Ukrainie na stawach czółnem, kiedy jeszcze młode nie latają. Trzeba szukać je bardzo cicho i ostrożnie między szuwarami, na czystej wodzie nigdy się ich nie spotka. Pod żadnym warunkiem nie można strzelać do innej zwierzyny, n. p. do kaczek, których tam setkami bywa, bo w takim razie z pewnością żadnego stadka nie spotkałoby się, wtedy natychmiast wyłażą na spławy, które są tak gęste i wysokie, szuwarami i łoziną zarosłe, że pies się przez nie przedrze. Jeżeli się strzelało do jakiego stadka, to już żadnej za tydzień nawet zobaczyć nie można. Raz strzelane już tylko do dnia wychodzą na żer w zboże, przy stawie rosnące; przy wschodzie słońca wracają tym samym śladem do spławów, gdzie przez cały dzień przesiadują. Właściciele tych zbóż, którym gęsi ogromne szkody robią, zawsze wyszpiegują je i poprowadzą na trop, którędy wyszły i można się z niemi spotkać na pewne. Strzały do nich są dość trudne, bo bardzo szybko znikają w wodzie, a zarazem niedogodne, gdyż trzeba po 3 godzinie rano już być na miejscu. Nieraz widziałem, jak stara popychała swoje małe dziobem przed sobą, które żerując wkładały główki w wody, nie widziały niebezpieczeństwa i nie bardzo były ostrożne. Odstrzelić starą, to wtedy łatwiej można spotkać młode, szukające matki. Z tego, co wyżej podałem i co sam doświadczyłem, wynika jawnie, iż dzikie gęsi nie można nazwać „głupiemi“. *W. B. M.*

Remenów.

Dnia 15. Lutego b. r. przyniósł leśny mój dwa snać niedawno urodzone zajączki, które wybrał w kotlince pod dębem wygrzebanej. Jeden z nich był martwy, w drugim nie wiele też tlało życia; był bardzo wątły i wygłodzony, a co najważniejsze, ziębnięty, albowiem śnieg z deszczem padał od dni kilku. Widocznie wyrodna matka wyrzekła się swoich dzieci, co się u zajęcy bardzo często zdarza. Żyjący zajączek skwapliwie wypił podane mu łyżeczką od kawy mleko, dzieci wzięły go w opiekę i ma się wcale dobrze, czego dowodem figle, które wyprawiać poczyna. Pierwszy prawidłowy marcowy pomiot zajęcy uważać można za przepadły, bo kilkakrotne zawieruchy śniegowe wytępiły zajączęta ze szczętem. *Cz. Lekczyński.*

Sprostowanie. W numerze kwietniowym w obrazie IV. „Dzień Lisowczyka“, po wierszu: Stoi jak posąg bez ruchu, bez drgnienia, należy dodać wiersz opuszczony: *I tylko czasem z piersi poruszenia.*

Z Ukrainy.

Najszczerszą przyjaźń myśliwych, gdy się w emulacych prześcigną, podkopuje zawiść, a trofea przeciwnika rozcinają węzły serdecznych stosunków. Zastanawiając się nad tem, mimowoli przychodzi myśl zbadania owej namiętnej pasyi myśliwskiej. Dlaczegoż w innych ważniejszych wypadkach serdeczna przyjaźń nadwątlaną nie bywa? Otóż dójść chyba należy do przekonania, że nic jak myśliwstwo nie dostarcza równie silnych wrażeń. Sam nieraz tego doświadczałem, nieraz spotkawszy serdecznego przyjaciela, któremu nie mniej jak sobie pomyślności życzyłem, gdym dostrzegł u torby jego rozmaitość obfitej zwierzyny, mimowolnie złorzeczyłem mu i nie umiałem sobie zdać sprawy, dlaczego to czynię, a to jedynie zawiść we mnie się burzyła. Na szczęście burza owa wewnętrzna nie trwa długo. Niejeden z myśliwych doznał tego upokarzającego uczucia i przyzna słuszność moim uwagom. Kto siły i energię tracić poczyna, niech głównie szuka powodu tej zmiany w braku ruchu i świeżego powietrza. Na to jedyna, przezemnie dobrze wypróbowana recepta, wstać rano, by świeża woń przyrody płuca mu odświeżyła, a melodya gry ogarów duszę nastroiła do swobody i radości. W gnuśności widzę upadek ducha i nadziei w przyszłość. Prawdziwy myśliwy zawsze krzepki ciałem i duchem! *Antoni Rokszyc Zapolski.*

Z pod Złoczowa 20. Marca.

Śnieg stajał zupełnie, słońce poczęło dogrzewać. Wiosna! — mówili niektórzy. Ja stary nie wierzyłem. Skowronki poczęły spiewać, więc nawet pessymiści wiosnę przewidywali. Zacytowałem im starą przypowieść: „Skowronek zanuci, trzykroć śniegiem rzuci“. Jakoż ziściła się ona, mimo przybycia czajek, bocianów, śnieg spadł i poleży może do Wielkiejnocy. W tym względzie i rusini bukowińscy mają swoją przypowieść: „Gdy na św. Paraskiewę (według greckiego kalendarza 1. Marca) odwilż, to wiosna się opóźni, bo patronka mimo ciepła kożuch przywdziała, a gdy dzień ów mroźny, wiatr wschodni jakby ogniem smali, św. Paraskiewa zwiastując rychłą wiosnę zapaską głowę pokrywa“. *Beati credentes.* Obecna chwila chyba ironią wiosny. Bociany przyleciały, czajki uwijają się po moczarach, ale nie „kihiczą“, wymowny to znak, że jeszcze będzie zimno. Jak długo one trzymają się stada i milczą, objawy wiosenne są zwodnicze. Najmniej daru przewidywania posiadają zające, byle zima łagodna, gotowe do zalotów, choćby w Styczniu, więc też kocą się wcześnie, a płód zabijają marcowe, a często i kwietniowe mrozy i śnieżne zawieje. W miesiącach tych, szczególnie gdy śnieżne i mroźne, zajęczyce kocą się najczęściej w kupach lub kupkach obornika, wywiezionego na pole, czynią to z powodu ciepła, jakie rozkładająca się mierzwa z siebie wyziewa. Kto ciekawy, niech rozpatrzy się w tych kupach, a pewnie przekona się o prawdzie mego twierdzenia. Wszelkie inne „kotowiska“ zgubne są dla pierwszego „rzutu“ zajęcy, ginie on, stając się pastwą wron, srok lub gawronów, latających stadami. Kilkakrotnie w czasie mego długiego życia widywałem owe uczty, jakie sobie te ptaki z znalezionych martwych zajączków wyprawiały. Teraźniejsza śniegowica wygubi niezawodnie pierwszy rzut zajęczy. *No...*

W końcu Lutego w obszernych lasach dóbr staszowskich, położonych w powiecie sandomirskim, gubernii radomskiej, odbyło się polowanie na grubego zwierza, dziki i rogacze. Z gospodarzem, hr. Arturem Potockim, jak donosi „Gazeta Kielecka“, przybyło kilka zaproszonych z Galicyi osób, w tej liczbie hr. Branicki i Zamojski. W ośm strzelb zabito 41 dzików i kilkanaście rogaczy. Polowanie ostatnie urządzane było na dziki, ponieważ na równi z inną zwierzyną starannie hodowane w tych wzorowo urządzonych lasach, dziki znacznie się rozmnożyły i wyrządzały wielkie szkody w zasiewach sąsiadów. Pomimo wystrzelania 41 sztuk, po lasach swobodnie spaceruje jeszcze 120 dzików. Za szkody w ubiegłym roku hr. Potocki zapłacił 2.000 rubli. Jak piękny jest zwierzostan w lasach dwóch kluczów: staszowskiego i pacanowskiego, posłużyć może za dowód, że pielęgnują tam około 1.000 sarn, którym obecnie w porze zimowej wydzielana jest żywność.

Z Samborskiego podgórza. Marzec.

Ponowa aż miło, a co mi z niej, kiedy polować nie wolno. Ostatnia pasya porywa, gdy śniegu było trzeba, szaro i szaro, ani się ruszyć na polowanie, a teraz ponowa — musztarda po obiedzie. Takie mnie myśli trapiły, gnuśniejącego przy oknie, gdy naraz „świńskim kłusem“ zjawia się dwóch żydów i wchodzą do pokoju. „Jestem Moszko, krawiec ze Staregomiasta“ — zarekomendował się pierwszy. „Ja proszę Wielmożnego Pana i ot mój „szajgec“ szliśmy czerez ten las, co to Wielmożny Pan wie, aż tu wychodzi na nas leu (lew), ja gewalt! a wun wcik. Bardzo był wielgi zwir, żółty, a oczy miał aż strach, niech powie szajgec; „*nu*, *sugże dem puretz*“ — dodał, zwracając się do swego towarzysza. „*Auf meine munes* to był wielgi zwir“ — zaklął żydek — „my się bardzo strachali“. Sądziłem, iż może istotnie tygrys, jaguar lub lew umknął z menażeryi i pojawił się w lesie, zwołuję więc co rychlej pospolite ruszenie, kto żyw wyrusza do pobliskiego lasu. Ja i ekonom byliśmy uzbrojeni w dubeltówki, reszta schwyciła do rąk co mogła. Żydzi na czele dyrdali w celu wskazania miejsca pojawienia się potworu. „Ot trop“ — odzywa się ekonom — podchodzę i w istocie znajduję trop, jakiego w życiu mojem nie widziałem, dużych rozmiarów, z wyraźnem odbiciem ogromnych pazurów. Widocznie zwierz to kociego rodu. Karbownik objął komendę nad ludźmi, stanowiącymi nagonkę, która zająwszy niewielki lasek poczęła z wielkim hałasem buszować po zaroślach. Ja i ekonom stoimy gotowi do strzału, naraz odezwał się wrzaskliwy głos w głębi lasu: „A je, je, sedyt na hrabi!“ Pomykam co tchu w tę stronę, wtem może o 50 kroków przemyka koło mnie ryś, strzelam z obu luf i chybiam. Zkąd się wziął ów mieszkaniec górskich kniei, do których odemnie więcej jak 5 mil, tego odgadnąć nie umiem. Czy go obława jaka ztamtąd wypłoszyła, czy może głód wypędził? To pewne, że był to ryś dużych rozmiarów. Przez trzy dni polowałem na niego z nagonką, ale bezskutecznie, uszedł w dalekie strony, a mnie pozostał żal i cierpkie wyrzuty, czynione samemu sobie, żem w gorączce tak haniebnie do niego chybił. *G. S.*

Z nad Sanu.

Trzykrotnie w tym roku zamarzał San i tyleż razy tajały lody jego. Takie wydarzenia są to niespodzianki, których żaden uczony meteorolog, ani domorosły znachor przewidzieć nie zdoła. W tej mierze zwierzyna dzika o wiele więcej objawia daru spostrzegawczego, instynktem przeczuwa ona zmiany temperatury. Wątpiących radbym przekonać przytoczeniem kilku zdarzeń, których naocznym byłem świadkiem. Przed laty mieszkając w Stryjskiem, nad brzegami rzeki Swiecy, pomnę, że zima, jak tegoroczna, była niestałą, kilkakrotnie spadały śniegi, Świeca pokrywała się lodem, które wnet tajały. Na przeciwległym brzegu Świecy, na tak zwanej „porzeczynie“, glebie wybornej, posiałem rzepak zimowy. Był prześliczny, służył też jako wyborne żerowisko dla wszystkich sarn pobliskich lasów. Pole owe stanowiło jakoby półwysep, bo z jednej strony przylegało do góry, porosłej lasem, a zresztą w koło otaczało je wijące się koryto rzeki. Brzegi owej góry spadały w kształcie wysokiej, pionowej ściany, której przekroczyć nawet lotny jeleń nie mógł. Dom mój mieszkalny stał po drugiej stronie rzeki Świecy, jednak niedaleko od owego pola, mogłem więc nietylko za dnia z ganku całe przejrzeć, ale nawet w nocy księżycowej. Codziennie też od wczesnej jesieni widywałem stadka sarn, żerujące na moim rzepaku przed wieczorem lub o świcie, jak ich jest zwyczajem. Dla sarn tych przystęp do pola od strony ściany był niemożliwy, musiały przeto w bród przebywać Świecę. Po lodzie lub podczas niskiego stanu wody, była to rzecz łatwa, ale gdy wody wezbrały, a co gorsze, toczyły krę, trudno było przebyć rzekę. W owym roku, kiedy ruszyły lody, nie wychodziły sarny na rzepak, a co dziwniejsze, że na kilka dni przed odwilżą nie widziałem sarn na owem polu. Domyśliłem się właściwej przyczyny tej ich abstynencyi, widocznie przewidywały nastąpić mającą zmianę temperatury, a z nią tajanie lodów, któreby odwrót im utrudniły. Skoro wody Świecy ponownie pokryły się lodem, zjawiały się wnet na rzepaczysku. Któż o tem nie wie, iż gdy lisy za dnia pojawiają się w pobliżu zabudowań ludzkich, nastąpi niechybnie zawierucha śnieżna. Zające przed każdą zmianą powietrza, osobliwie przed burzą, kilkakrotnie przez dzień zmieniają kotliny. Miałem raz dwa zające, nie mając ich gdzie umieścić, puściłem na obszerny strych mieszkalnego domu. Były tam przez czas długi, więc miałem sposobność obserwować ich zachowanie się, które mi, jako rolnikowi służyły za barometr. Za dnia, gdy nie przeczuwały zmiany powietrza, spały spokojnie, każdy w osobnym kącie. Gdy wszakże miał nastąpić deszcz, zwłaszcza nawalny lub słota kilkudniowa, to zające w niepokoju biegały po całym strychu i drapały, w celu wygrzebania sobie kotliny. Toż samo działo się w zimie, w razie zmiany powietrza. Im owa bieganina była hałaśliwszą, tem sroższa groziła burza. Kawalerem byłem podówczas, przyzwyczaiwszy się do tych zajęczych heców, nie wiele sobie z nich robiłem nawet w nocy, ale goście moi przerażali się niemi, a szczególnie zatrwożył się raz komisarz cyrkularny S. Mając dom bardzo obszerny, nieżonaty, samotnik, prosiłem go raz na zawsze, aby komisye u mnie odbywał. Jakoż przyjechał pewnego wieczora. Po wieczerzy ułożyliśmy się do snu; ja w szóstym pokoju od komisarza. Zasnąłem jak kamień; wtem budzi mnie ktoś i przetarłszy oczy poznaję komisarza, który przestraszony zapewnia mnie, że na strychu muszą być złodzieje, bo słyszał wyraźny ich chód. Biorę z sobą tedy nabite pistolety i idziemy, wnet jednak przekonałem się, że to moje zające tak przeraziły komisarza. Że to był człowiek zacny i miły, więc dla jego spokoju poświęciłem moje żywe barometry i zjedliśmy je wspólnie. Zachowanie się zwierząt dzikich mogłoby nam wiele dostarczyć wskazówek w badaniu zjawisk meteorologicznych, nie lekceważmy więc ich, bo one prawdziwsze, jak wywody często dziwaczne uczonych. Każdy z myśliwych z własnego doświadczenia zna wiele ich ważnych i ciekawych, niech więc dla pożytku ogólnego poda je do wiadomości, a sądzę, iż nie mała korzyść ztąd wyniknie. *L.*

S p r a w a z w i l k i e m. Od naocznego świadka otrzymaliśmy opisanie zdarzenia prawdziwego, które podajemy niżej. Dnia 24. stycznia r. b. oddalił się we wsi Osobnicy powiatu Jasielskiego, pies pewnego gospodarza o kilkadziesiąt kroków od domu i został napadnięty przez wilka. Zaczęła się gonitwa. Na nieszczęście wilka znalazła się po drodze pomiędzy płotami studnia, którą pies znał dobrze. Uciekając w tym kierunku przeskoczył pies zręcznie studnię i pomknął dalej, podczas kiedy wilk nieznający miejscowości i zaślepiony pogonią wpadł w sam środek tejże. Znalazłszy się w tem niedogodnem położeniu zaczął wyć tak przeraźliwie, że się pobudzili najbliżsi mieszkańcy. Zebrawszy się w gromadę i uzbroiwszy się w cepy, dodali sobie gospodarze nawzajem otuchy a idąc za głosem dotarli aż do studni. Oczywista nastąpiły, jak to u ludu w takich razach bywa, odgrażania się i obiecywanie zemsty za porwanego już poprzednio psa. Noc jednakże była bardzo ciemna i trudno było zabrać się do wilka. Cóż począć? Dobra rada zawsze się znajdzie, więc znalazła się i tutaj. Jeden z gospodarzy uczynił wniosek, ażeby studnię przykryć i udać się do karczmy, gdzie wygodnie poczekać można do rana. Wniosek tak praktyczny został jednogłośnie przyjęty i zacna gromadka potoczyła się do Hajzyka (karczmarza), gdzie oczywista pito na skórę wilczą do samego rana. Skoro rozedniało, wzięto powrozy i wydobyto wilka, który był ciężki bardzo i nie dawał znaków życia. Studnia nie była wprawdzie głęboka, ale mimo to musiał się wody opić, a mróz ubezwładnił go do reszty. Mniemano, że się już udusił tembardziej, że go powrozem do góry windowano. Leży tedy wilk martwy koło studni, a przy nim stoi gromadka ludzi, między nimi arendarz, który teraz bardzo śmiały i drwi z wilka, a gospodarzy pyta, co ze skórą będą robili. — Damy ją wyprawić — powiada jeden, jest nas tu jedynastu, to będziemy z niego mieli 22 rękawic w sam raz. — Wy głupiaki — mówi Hajzyk — wy dacie ją pani hr. D., a ona wam da za to pastwisko, to będzie z pół wsi na nią chodzić. — Nie, to inaczej nie będzie, tylko na rękawice — odzywa się inny wieśniak — bo przypatrzcie się, jaki on piękny ma ogon, to będzie na okładziny do rękawic. I biorąc wilka za ogon, zachwyca się jego pięknością. Wtem nadbiega chłopak jednego z właścicieli przyszłych rękawic i woła: — Tatuniu dajcie ta powróz, bo Kasper jedzie do lasu po drzewo. — Tatuś zdejmuje powróz ze szyi wilka a kum jeszcze ogonem nacieszyć się nie może i pieści się z nim, a chwali, co to za piękne będą okładziny. Wilk tymczasem leży i słucha. Gazda zdjąwszy powróz ze szyi wilka, powiada: — Ja ci ta mego psa nie zapomnę i chociaż po śmierci, to cię jeszcze poczęstować muszę. — Rzekł i ściągnął grubym powrozem wilka po grzbiecie. Tu już nieboszczykowi cierpliwości zabrakło. Zerwał się przeto na równe nogi a amatorowi ogona bryzgnął w twarz tak, że go w sąsiednim rowie myć musieli, a nieoglądając się nawet, by zobaczyć wrażenie, jakie czyn jego sprawił, dał drapaka i zniknął z oczu rękawiczników.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.